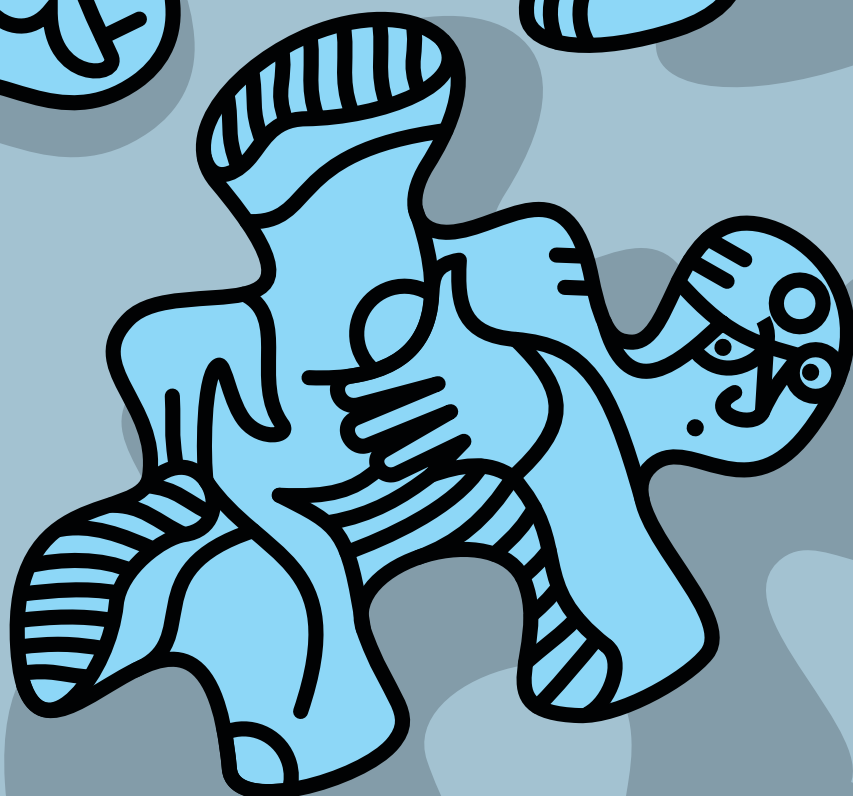
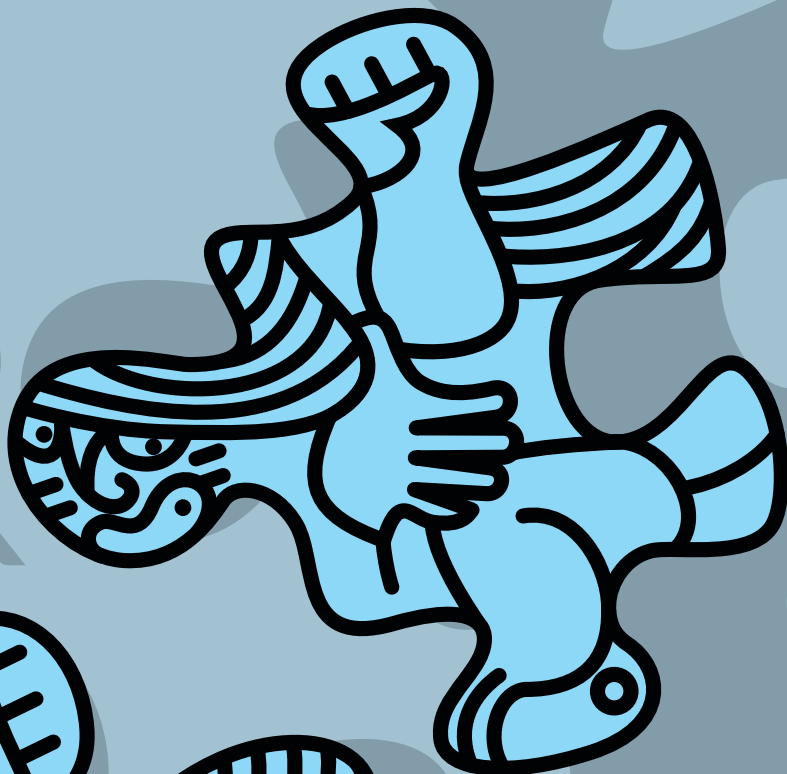
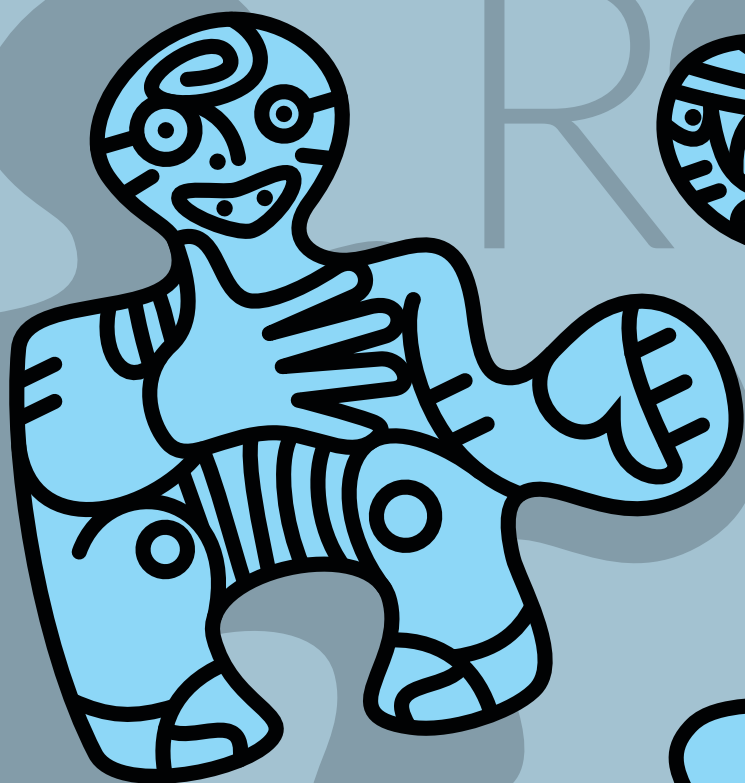


MA.

PISMO
KULTU
RALNE
NR 02/2016



02 W.

20 16



WYDAWCA:
Fundacja Alternatywnej Edukacji „ALE”
Żyzdrowy Piećek 14, 11-170 Piecki
www.alefundacja.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Marek Samselski – *redaktor naczelny*,
Przemek Kozak, Aleksandra Lemańska,
Ziemowit Kayzer, Bogdan Zaręba

m.samselski@wp.pl; kozak@sonc.pl

GRAFIKA/SKŁAD:
Przemek Kozak; www.sonc.pl

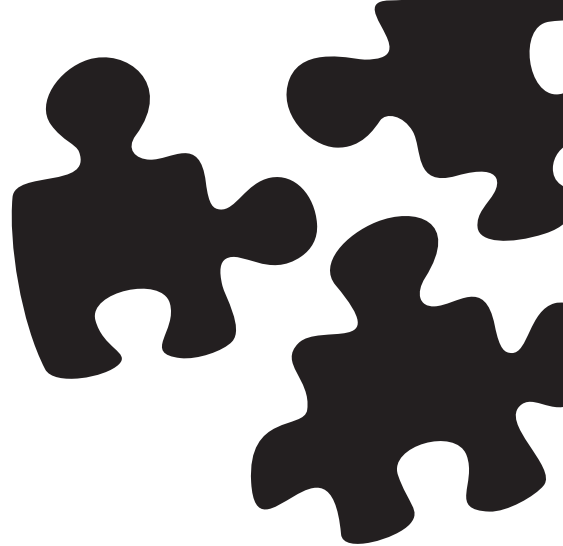


DRUK:
Dział Wydawnictw i Poligrafii
Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie

N.A.

PISMO KULTU RALNE

NR 02/2016



I
C
I
S
C
I
S
P
I
S
T
R
E
F
S
C
I

GRY → proza redakcyjna	04
ROGER WATERS "THE WALL – LIVE" → relacja	06
BIBLIOTEKA POLECA → recenzja	08
„RELATOS SALVAJES” → recenzja	09
ANDRZEJ CISOWSKI → galeria	11
AREK DZICZEK → foto	12
JOANNA BUDZYŃSKA → poezja	14
NATALIYA MURYN → poezja	15
SENTENCJE	16
WIECZÓR DETEKTYWA KNAPPA → proza	17
ARTUR URBAŃSKI → poezja	18
KOBIETA BEZ MĘŻCZYZNY JEST JAK RYBA BEZ ROWERU → felieton	19
PALINDROMY → pjursens	20
DZIAŁDOWSKA KUŹNIA SŁOWA → działanie	21
CASTEL DI ADOLFO, CZYLI ZAMEK ADOLFA → proza	22
rozmowa z KLAUDIUSZEM WOŹNIAKIEM	24
ZA CO KOCHAMY AMERYKĘ → felieton	25
KRAINA SZCZĘŚLIWOŚCI → proza	26
PRZEMEK KOZAK → piktogramy	28
FOTOKOMÓRKA	29
OBIEC(Z)UJĄCE → talenty	30

Drodzy Czytelnicy!

Z ogromną przyjemnością witamy się z Wami, tym większą, że wydanie tego numeru wisiało na nitce braku finansów. Ukazaliśmy się dzięki zaangażowaniu i konsekwentnej pomocy pani poseł Urszuli Pasławskiej, radnych: dr. Tomasza Łachacza, Arkadiusza Dzikczka, Sławomira Staszaka, Justyny Chrapkiewicz-Jagaczewskiej oraz wsparciu szczecińskiego Banku Spółdzielczego. Serdecznie dziękujemy.

Po wydaniu dwóch numerów pisma można starać się o dotację z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Oczywiście, złożymy wniosek. Jednak przede wszystkim liczymy na finansowe wsparcie z naszego regionu. W tym miejscu apelujemy o takie wsparcie, w postaci wpłat na konto Fundacji ALE, naszego wydawcy.

Ludzie z naszej redakcji odwiedzili kilka miast w województwie warmińsko-mazurskim. W Nidzicy, wielce gościnny i wart bliższego przedstawienia, zrobimy to!, jest Krzysiek Żukowski, nauczyciel muzyki i animator kultury. Niniejszy numer gości nidziczką, obiecującą dziewczynę pióra. W Działdowie ujęło nas działanie stowarzyszenia skupiające miłośników literatury – o nim też w tym wydaniu „N.A.” A w Giżycku miłośniczka literatury, pani Agnieszka Sacharczuk (jednym z jej ulubionych pisarzy jest Hermann Hesse!) przedstawiła nam interesującą twórczość dwojga autorów. Ze szczecińskiego kręgu twórców pojawił się u nas m.in. Arkadiusz Dzikczek, mistrz spojrzenia okiem obiektywu.

Niezłomnie zapraszamy na nasze łamy.
Serdecznie pozdrawiamy.
Redakcja





MAREK SAMSELSKI



ZIEMEK KAYZER



PRZEMEK KOZAK



GRY

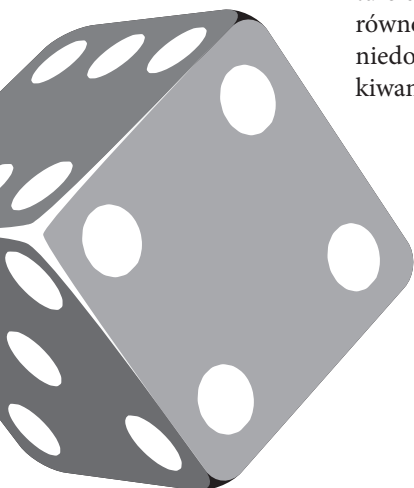
**Czy Wiedźmin
w wydaniu książkowym
już przegrał
z Wiedźminem – grą
komputerową?**

Rozmawiamy o grach, bardzo pojemne jest znacznie słowa GRY, więc rozmawiamy zneceni tą pojemnością. Bo grać można mimiką, w szachy, w brydża, w kulki, na nerwach, na uczuciach, w kasynie, solo albo w zespole, i tak dalej, i tak dalej... Także można grać w klasy. „Gra w klasy” – taką powieść napisał Julio Cortazar, który proponuje spoj-

rzanie z tej strony, z tamtej strony, a także z trzeciej, arbitralnej strony. Taka propozycja ma sama w sobie dużą wartość, o której zazwyczaj zapominamy. Najczęściej bywa niestety tak, że ograniczamy się do jednostronnego spojrzenia, nie przyjmując argumentów drugiej

strony, nie mówiąc o poszukaniu arbitra. Oczywiście w przypadku spornej sprawy. Spory pozostają nierozstrzygnięte, gdyż strony pozostają niezłomnie przy swoim. I już! Jest taki ładne słowo – erystyka, czyli umiejętność dyskusowania. Zgadza się, jak tu siedzimy przy redakcyjnym stole, że wokół, zarówno w świecie wirtualnym, jak i realnym, istnieje niedobór umiejętności dyskusowania, chęci poszukiwania i wypracowywania racji wspólnej.

Wspólna nasza racja, po wymianie zdań przy elipsoidalnym stole, jest taka – nie gramy za wiele. Przystopujmy! Takie mamy postanowienie. Na przykład od dzisiaj nie chcemy już grać na uczuciach. Tak jak tu siedzimy, będziemy grać na rozumie. Nie siłować się na staranne sprecyzowanie, co to oznacza. Poza tym podjęliśmy postanowienie wprost albo podstępnie namawiać kogo się da do czytania literatury pięknej. Oznacza to wprawdzie granie na uczuciach i rozumie jednocześnie, jednak uważamy, że z przewagą rozumu. Bo chyba łatwiej zrozumieć niż poczuć, że warto. A dlaczego warto? Bo może taka lektura skłonić czytelnika do introspekcji; może pomóc zgłębić tajniki duszy ludzi o mentalności zupełnie różniącej się od ego czytającego. Wtedy temu czytelnikowi wchodzącemu w spór z człowiekiem właśnie o odmiennej mentalności, łatwiej będzie się porozumieć. Zrozumieć go. Znajoma jednego z nas, czyli redakcyjnego bractwa, ma problem z mężem, hazardzistą. Za nic ten mąż nie chce się zgodzić na terapię, która pomogłaby mu wyjść z paskudnego uzależnienia, jakim jest chadźanie do kasyna. A mogłaby ta znajoma przeczytać „Gracza” Fiodora Dostojewskiego i w ten sposób poszukać klucza do zrozumienia mentalności hazardzisty. I skutecznej metody wydobycia ze szpon uzależnienia. Przy okazji nasunęło nam się oczywiste spostrzeżenie, że lawinowo rośnie liczba ludzi uzależnionych od gier komputerowych. Gry komputerowe urosły w potężną siłę, zniwelującą umysły, wciągając w świat wirtualny. Zaczyna się od strącania jakichś baloników na ekraniku. Dla relaksu oczywiście. A co potem? Rośnie pokolenie, rośnie masa wirtualnych gier. Czy Wiedźmin w wydaniu książkowym już przegrał z Wiedźminem – grą komputerową?



człowieku wspieraj **NA.**

Drugi numer naszego NA nie ukazałby się, gdyby nie wsparcie pani poseł Urszuli Pasławskiej oraz szczycieńskich radnych: Justyny Chrapkiewicz-Jagaczewskiej, Tomasza Łachacza i Sławomira Staszaka. Dodajmy, że dzięki zaangażowaniu Tomasza Łachacza i Sławomira Staszaka wyszedł pierwszy numer. Wspierającym wydawanie pisma kulturalnego, będącego forum dla szczycieńskich i regionalnych twórców, zadaliśmy dwa pytania:

1. Dlaczego warto, by ukazywało się nasze pismo, było nie było, o nieco niszowym charakterze?

Tomasz Łachacz:

Pismo kulturalne NA tworzone jest przez mieszkańców naszego miasta i regionu, którzy na jego łamach mają możliwość prezentowania swojej twórczości. Niektórzy z nich to już wybitni, rozpoznawalni autorzy i artyści, ale część twórców dzięki naszemu pismu ma szansę zadebiutowania ze swoimi utworami. Dla nich to jest bardzo ważna chwila i dlatego warto im w tym pomóc! Poza tym autorzy ukazują w swojej twórczości walory naszego regionu, co jest jego doskonałą promocją.

Sławek Staszak

Warto wspierać projekty o różnym charakterze. Zainteresowałem się akurat pismem NA, ponieważ uważam, że w naszym mieście pisze się o wielu sprawach, lecz mało miejsca poświęca się życiu kulturalnemu. Jest to dziedzina, która nie ma może wielu zwolenników, dlatego też uważam, że tym bardziej powinno się wspierać działania, które dotrą i do tej części czytelników.

Justyna Chrapkiewicz-Jagaczewska

Czasem najprostsze pytania wydają się być najtrudniejsze. To jest tak jak pytamy się kogoś z zaskoczeniem o podanie definicji słowa, które wszyscy znają i z grubszą wiedzą o co chodzi, np.: „społeczeństwo”, „kultura”, ale ze zdefiniowaniem jest już problem. Podobnie jest z pytaniem dlaczego warto, aby to pismo się ukazywało? Jak dla mnie, przede wszystkim dlatego, że pokazuje jaki potencjał intelektualny i artystyczny tkwi w ludziach „stąd”. Wydaje mi się, że zawsze mamy tendencję do zachwycań się tym wszystkim co, jest daleko od nas. Im bardziej odległe, tym bardziej wspaniałe, egzotyczne, piękne i mądre. Bardzo często nie doceniamy tego co mamy na wyciągnięcie ręki. Szukamy daleko nie wiedząc, że mamy coś równie wspaniałego i mądrego blisko. I właśnie to pismo pokazuje jak blisko (tuż koło nas) żyją i tworzą wspaniali ludzie. Warto więc prezentować wszystkie te osoby i ich potencjał. Pokazywać, że poza codziennością spraw przedstawianych w dziennikach i wiadomościach TV istnieje też inny świat - bardziej duchowy, zmuszający odbiorcę do przemyśleń. Zmuszający do wyhamowania i refleksji nad sobą samym i światem.

2. Czy w swojej działalności na rzecz miasta realizują pomysły, które chcieliby tu, na naszych łamach przedstawić?

Sławek Staszak

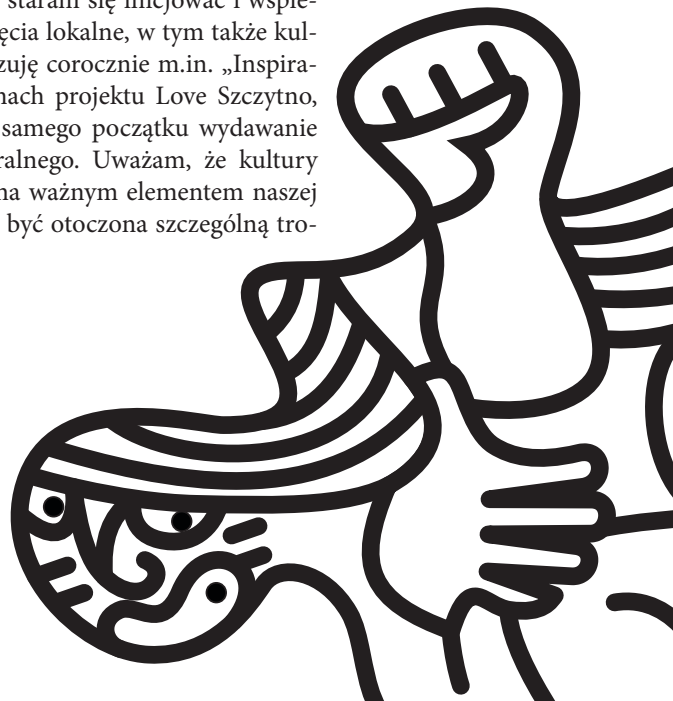
Staram się jak najwięcej angażować w życie kulturalne naszego miasta i jego mieszkańców poprzez organizację różnego rodzaju imprez, jak również poprzez działania np. czerwonokrzyskie. W ostatnim czasie stały się one nieodłącznym elementem szczycieńskiego kalendarza imprez i wydarzeń.

Justyna Chrapkiewicz-Jagaczewska

Wciąż przecieram szlaki ze swoimi pomysłami. Póki co, to duża przesada żeby mówić o ich realizacji. Zbieram opinie, wysłuchuję zdania innych co sądzą o danym pomysle. Pojawił się zamysł stworzenia w Szczytnie inkubatora przedsiębiorczości. Nadal jestem zdania, że byłoby to dobre przedsięwzięcie, ale muszę przeprowadzić rozpoznanie rynku i jeśli będzie ono zadowalające, to pozostaje jeszcze przekonać do pomysłu innych. Nurtuje mnie też małe zainteresowanie inwestorów naszym powiatem. Uważam, że należy zrobić coś w tym kierunku, chociażby przyciągnąć inwestorów do naszej specjalnej strefy ekonomicznej. Pozwoliłby to powstanie nowych miejsc pracy, a praca przekłada się nie tylko na polepszenie sytuacji życiowej danej rodziny, ale również całego regionu.

Tomasz Łachacz

W swojej działalności staram się inicjować i wspierać różne przedsięwzięcia lokalne, w tym także kulturalne. Współorganizuję corocznie m.in. „Inspiracje kulturalne” w ramach projektu Love Szczytno, czy też wspieram od samego początku wydawanie naszego pisma kulturalnego. Uważam, że kultura nigdy za wiele! Jest ona ważnym elementem naszej tożsamości i powinna być otoczona szczególną troską i wsparciem.





BOGDAN ZARĘBA
Przeżyłem już zdecydowa-
nie ponad pół wieku.
O sobie pisać nie potrafię.
Mówię zazwyczaj wtedy,
gdy mam coś istotnego
do powiedzenia.
Od około dziesięciu lat
piszę o muzyce, zwłaszcza
o rocku progresywnym
i artrocku.
Jestem recenzentem
jednego z portali internetowych,
który zajmuje się
tematycznie między innymi
muzyką rockową. Moje teksty
to relacje z koncertów,
recenzje płyt i felietony.

ROGER WATERS "THE WALL – LIVE"

Aby być na tym koncercie Rogera Watersa trzeba było zapewnić sobie bilety już w czerwcu ubiegłego roku. Nigdy nie myślałem, że będzie mi dane usłyszeć i zobaczyć widowisko "The Wall" na żywo. Mówiąc prawdę, nawet o tym nie marzyłem. Jednak nie zastanawiałem się ani przez moment. Wiedziałem, że powinienem tam pojechać, bez względu na wszystko. Do Łodzi zabrałem mojego kompana koncertowych wypraw bliskich i dalekich, czyli córkę Kasię. Tym razem na dwudniowy wypad do środka Polski potrzebny był urlop. W czasie podróży wypróbowaliśmy obydwaj najpopularniejsze środki przewozu pasażerów, czyli komunikację autobusową i kolej. Zasadniczo większych uwag do tych instytucji nie mam. Dojechalismy o czasie i bez przygód.

Na teren obiektu Atlas Arena weszliśmy około godziny 18.15. Trochę przeraziła blisko trzystumetrowa kolejka do sektora na płytę. Ale jak już się ruszyło, wszystko poszło sprawnie i bez tłoku. Jesteśmy w środku. Ładnie tu i przestronnie. Aparaty fotograficzne udało nam się wnieść. Ochroniarze specjalnie ich nie wyszukiwali. Pierwsze kroki skierowaliśmy oczywiście do stoiska handlowego, już obłożonego przez potencjalnych klientów. Właśnie tego się obawiałem. Ceny koszulek kosmiczne! No, ale wrócić z takiego koncertu bez pamiątkowego T-shirta to grzech śmiertelny. Robimy zatem naradę rodzinną zaglądając jednocześnie do portfela i okazuje się, że gdy zakupimy dwie koszulki oraz bilety powrotne, zostanie nam około piętnastu złotych. Decyzję podjęta natychmiast – kupujemy. To było dobre postanowienie. Udało nam się przeżyć do połowy następnego dnia dzięki jednej kanapce zrobionej przed podróżą, a w zasadzie to przed głodem uratowała nas paczuszka precelków. Na wodę niegazowaną też starczyło. Ale wracajmy do meritum. Idziemy dalej, jesteśmy już na płycie (mniej więcej pośrodku), siadamy na podłodze i czekamy w napięciu. Daleko przed nami olbrzymia scena, nad nią wielki ekran w kształcie koła oraz rozebrana ściana z wielkich sztucznych cegieł. Tylko na jej krawędziach mur był na pełnej wysokości.

Widowisko rozpoczęło się o 20.10. Najpierw jednak prośba organizatorów, aby robić pamiątkowe zdjęcia bez fleszy. Nie trzeba było tego nam dwa razy powtarzać. Dobrze, że w ogóle można fotografować. Hala wypełniona w całości. Prawdopodobnie mieści około 10 tysięcy widzów. Na scenie wybuchające race i festiwal świateł. W głośnikach *In the Flash?* kończący się rykiem pikującego myśliwca. Przez arenę po prawej stronie przeleciała makieta jakiegoś samolotu i uderzyła w ścianę. Początek spektaklu szokujący. Przy *The Thin Ice* na ekranie pojawiają się twarze, a później dane (data urodzenia, data i miejsce śmierci). Przegląd tych postaci rozpoczyna nazwisko Eric Fletcher Waters, ojciec artysty, który zginął w bitwie pod Anzio we Włoszech w 1944 roku. Wokalnie w tym utworze Rogera wspomaga drugi wokalista. Dalej kolejno płyną następne nagrania. W kole czerwony napis "I Believe". Po prawej stronie pojawia się natomiast wielka kukła Nauczyciela ze świecącymi oczami. To podczas *Another Brick In the Wall part 2*. Muzycznie zaś swoją solówką czarował nas gitarzysta Snowy White, którego udało mnie się wypatrzeć przez lornetkę.

Przed *Mother Waters* przywitał się z nami mówiąc: "Dobry wieczór Polska". Właśnie podczas tej piosenki, tym razem po stronie lewej wyłania się kukła Matki. Na coraz większym murze wyświetlane jest zdanie w kilku językach – „Matka wie najlepiej”. Trzeba było bardzo uważać, aby czegoś nie przegapić. Wiadomo, że wszystkich szczegółów nie zapamiętałem, ale nie uszły mojej uwadze żartobliwe napisy w tym numerze. W pewnym momencie, gdy Roger w tekście zapytuje czy powinien wierzyć rządowi, po obydwu stronach ściany pojawiają się czerwone litery. Z prawej, napisane "No, Fucking" a z lewej drukiem „Nie, Niech Spieprzają”. No i brawa za to też były. Wreszcie na koniec widzimy znamienne: "Big Brother Is Watching You".

Warto zwrócić też uwagę na animacje w *Good Bye Blue Sky* (nalot bombowców) oraz w *Empty Spaces* (erotyczny taniec dwóch kwiatów i obrazy wojny). A konstrukcja coraz większa, pracownicy



techniczni jak robotnicy w mrowisku układają cegła po cegle. Gdy zespół rozpoczyna *Another Brick in the Wall part 3*, ściana już prawie gotowa. Zostały tylko trzy duże okienka, po to, aby muzycy byli widoczni. Wśród nich również za sprawą lornetki rozpoznałem klawiszowca Jona Carina, uczestnika tras koncertowych także Pink Floyd i Davida Gilmoura. Pozostałych artystów nie znam. Niesamowite wrażenie można było odczuć w momencie, gdy obraz przedstawiał zbijaną szybę na całej szerokości cegieł, w połączeniu z brzękiem tłuczonego szkła. Miało to miejsce zaraz po fragmencie *Dont Leave Me Now*. Podczas instrumentalnego *The Last Few Bricks* reszta cegieł zostaje wstawiona. „Pozostaje tylko jeszcze jedna cegła w murze”. Przez przeznaczone dla niej miejsce widzimy Watersa śpiewającego wersy z *Goodbye Cruel World*. Przy ostatnim słowie gaśnie światło a budowla jest już kompletna. Rozbłyśnięcie i ukazuje się na niej olbrzymi napis „Intermission”. Przydała się przerwa, aby ochłonąć. Lecz cały czas trzeba być uważnym, gdyż przed nami ukazują się zdjęcia ludzi (mniej lub bardziej znanych), którzy zginęli w czasie zbrojnych konfliktów. Wśród nich – nasz poeta Krzysztof Kamil Baczyński (po prawej stronie u góry).

Po dwudziestominutowej pauzie, najpierw wysłuchaliśmy *Hey You* oglądając lekko podświetloną ścianę. Artyści wykonując ten utwór przebywali po drugiej stronie konstrukcji. W króciutkim *Is There Anybody Out There* wysunięto dwie cegły i ukazali się dwaj gitarzyści z instrumentami akustycznymi, po czym puste okienka ponownie zostały zasłonięte. Potem Roger Waters pojawił się przed ścianą. Najpierw na fotelu przy stoliku ze stojącą lampą (*Nobody Home*) później stojąc w blasku światła jako główny wokalista. Wyśmienicie wypadło *Comfortably Numb*. Na szczycie budowli w snopie reflektorów na przemian widoczny był wokalista Robie Wycoff oraz gitarzysta Dave Kilminster, który popisał się kapitalnymi solówkami. Tylko dlaczego nie było pojedynku dwóch gitar? Snowy White nie zagrał w tym utworze swoich partii. Trochę szkoda. Za to na mu-

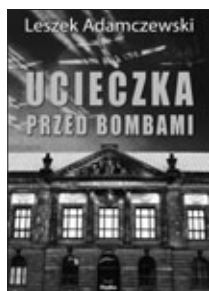
rze znowu zaczynają dziać się ciekawe i niesamowite rzeczy. Przed pozycją *In the Flash* cała ekipa już zainstalowała się przed widownią. Natomiast z lewej strony, w kierunku publiczności zaczyna fruwać wielka dmuchana świnka, a Roger strzela do widowni z karabinu maszynowego. Z kolei na ścianie najpierw wielkie antywojenne napisy i zdjęcia dyktatorów: Stalin, Hitler, Mao. Znalazł się tam również George W. Bush. Później snują się czerwone robale, dalej niesamowity marsz rozpoczynają czerwono-czarne młotki.

Następna propozycja, czyli musicalowy *The Trial* to fantastyczne animacje, w których pojawiają się główni bohaterowie fabuły albumu *The Wall*. Na koniec wreszcie zbudowany mur zostaje zburzony. Tylko na pozostałym skrawku stojących jeszcze po bokach cegieł pojawia się obraz postaci z wyciągniętymi nad głowę rękoma, która nagle zaczyna klaskać. Tak, to był sygnał, że widowisko się kończy. Jeszcze folkowe wykonanie *Outside the Wall* z udziałem akordeonu, banjo, mandoliny, kilku gitar akustycznych i trąbki, na której zagrał Roger, oraz przedstawienie wszystkich muzyków. „Dzięki Polska”, tak pożegnał się z nami bohater wieczoru. Jest godzina 22.30. Oprócz wymienionych przeze mnie już artystów wystąpili także: Graham Broad – perkusja, G.E. Smith – gitara, Harry Waters (syn Mistrza) – klawisze, oraz wokaliści z tła: Jon Joyce oraz Mark, Michael i Kipp Lennonowie.

Czas na podsumowania. Przede wszystkim koncert był fenomenalnie nagłośniony. Chociaż nie widziałem prawie wcale wykonawców, fakt ten nie wpłynął mocno negatywnie na odbiór. Z tego względu, że najważniejsze działo się właśnie na ścianie i na ekranie oraz w głośnikach. Spektakl dźwięku, obrazu i światła. Dyspozycja głosowa Watersa – wyśmienita. Trzeba było tam być. Dla mnie jeden z najważniejszych koncertów, jakie widziałem. A może koncert życia? Tego nie jestem jednak pewien. Coś mnie się wydaje, że na swoim koncercie życia, to już byłem tylko jeszcze o tym nie wiem.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
w Szczytnie
ul. Polska 8

BIBLIOTEKA POLECA



Adamczewski Leszek: Ucieczka przed bombami

Wydawnictwo: Replika 2015

„Ucieczka przed bombami” to fascynująca książka o sensacyjnym zabarwieniu. Autor, Leszek Adamczewski, zabiera czytelników w podróż śladami skarbów kultury polskiej, które ewakuowane zostały przez Niemców z zagrożonych alianckimi bombardowaniami miast Kraju Wisły, m.in. z Poznania, Gniezna, Łodzi i wielu innych. Autor podąża za transportami ewakuacyjnymi zmierzającymi do kopalni soli w Grasleben, na Dolny Śląsk oraz do Drezna i stara się odnaleźć zagubione skarby.

Autor przedstawia również niektóre wydarzenia z okolic, gdzie trafiać miały polskie skarby. Opowiada o bombardowaniu Drezna, budowaniu tajnych kwater Hitlera w Górach Sowich.



Pelica Patrycja: Ritterowie

Wydawnictwo: Muza 2016

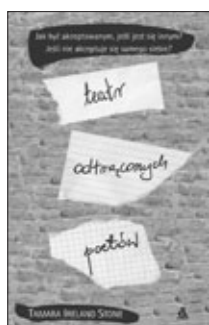
Cztery pokolenia kobiet Ritterów, pięknych i pełnych temperamentu odważnych przedstawicielek swojego rodu, walczą z przeciwnościami losu. Łączy je nie tylko wspólna krew, ale i to samo imię. Jak czary, proroctwo, a może przekleństwo, niosą swoje przeznaczenie przez dziesiątki lat po to, aby na końcu wrócić do korzeni. Realizm magiczny Patrycji Pelicy przenosi czytelnika w utracony świat dawnych Prus. To zachwycająca w swej prostocie i kunsztowności zarazem historia, jaka na zawsze pozostaje w pamięci. Tu koło historii toczy się i zamyka, wraz z nieustającym powrotem wiecznej miłości mężczyzny i kobiety.



Pałasz Elżbieta: Wiola i Broklyn

Wydawnictwo Bajka, 2015

Książka Elżbiety Pałasz, zilustrowana przez Piotra Rychela, nosi wszelkie znamiona baśni. Roi się w niej od postaci magicznych: wróżek, krasnali, smoków, co rusz ingerujących w przebieg realnych zdarzeń. Głównymi bohaterami „Wioli i Broklyna” są bliżej nieokreślone dzieci, z którymi mali czytelnicy mogą się łatwo utożsamić, w końcu dla każdego lub prawie każdego rodzica ich syn lub córka to mali książęta. Poza tym fabuła, dosyć schematyczna, skoncentrowana jest wokół walki dobra ze złem, aczkolwiek granica między rzeczonymi kategoriami nie jest tak wyraźnie jak w klasycznych baśniach zarysowana.



Stone Tamara Ireland: Teatr odtrąconych poetów

Wydawnictwo: Amber 2015

Każdy pragnie akceptacji. Ale jak być akceptowanym, jeśli jest się innym? Jeśli nie akceptuje się samego siebie? Jak uciec przed samotnością?

Młodzi bohaterowie, naznaczeni chorobą, innym wyglądem, pochodzeniem albo przeżytą tragedią czy nadmierną wrażliwością, zmagają się z samotnością i odrzuceniem przez rówieśników. Nie akceptują siebie i czują, że świat nie akceptuje ich. Mimo to szukają swego miejsca i znajdują je.

„RELATOS SALVAJES” – czyli „Dzikie Historie”

Hiszpański tytuł zdradza, że mamy do czynienia z kinematografią latynoską, a konkretnie – argentyńską. Fani tasiemcowych seriali z Ameryki Południowej byliby może zachwyceni kolejną bezwartościową produkcją, ale nic podobnego. Mieszczący się w kanonie groteski i czarnej komedii, jest to film z górnej półki.

Choć geograficznie wydawać by się mogło, a i kulturowo odległy od naszego podwórka temat filmowy, to zawarte w nim sześć historii, bez wątpienia pasują do naszej polskiej, a nawet szczecińskiej rzeczywistości, szczególnie teraz gdy mamy pod nosem lotnisko o „adekwatnej” nazwie, Olsztyn-Mazury.

Otóż akcja pierwszej historii rozpoczyna się w terminalu lotniska w Buenos Aires. Nasz główny bohater Gabriel Pasternak, muzyk, kompozytor, postanawia zorganizować lotniczą wycieczkę wszyst-

się, że jest to ktoś, kogo szczególnie nienawidziła. Całe lata czekała, by pewnego dnia spotkać człowieka, który doprowadził do samobójstwa jej ojca, do tarapatów finansowych rodziny, a ją samą zmusił do wyjazdu za „chlebem”. Wszystko wskazuje na to, że musiał to być jakiś państwowy funkcjonariusz lub mafiozo. Świadomość usługiwania człowiekowi, który od lat wywoływał w niej rozpacz, ból i wewnętrzny krzyk, a także chęć zemsty, by do jedzenia nasypać trutki na szczury. Jednak społeczna i prawna rama nie pozwala jej nic zrobić. Mimo to, los i przeznaczenie nie po to przywiodły złego faceta do restauracji, by ten zjadł sobie pyszną jajecznicę i ruszył w dalszą drogę, lecz by dokonał się akt sprawiedliwości... „Oko za oko, ząb za ząb”.

Chyba każdemu z nas przytrafia się chęć zrobienia czegoś spektakularnego, co pozwoliło by nam



JAROSŁAW
CHOJNACKI

Pieśniarz, muzyk, kompozytor.

W wolnych chwilach fotografuje, specjalizując się w kobiecym portrecie. Uprawia wspinaczkę wysoko-górską. Uwielbia dobre inteligentne kino.

Marzy o posiadaniu i lataniu wiatro-lotem. Podróżnik i miłośnik mazurskiej przyrody.

NA.

PISMO
KULTU
RALNE
NR 02/2016

RECENZJE



kim swoim bliskim i dalekim, którzy w jakikolwiek sposób odegrali rolę w jego życiu. Czyż to nie wspaniały prezent? Lot przebiega bez zakłóceń, aż do momentu, gdy wszyscy pasażerowie orientują się, że nie tylko lecą do tego samego miasta, ale że wszyscy mają tego samego wspólnego znajomego. A gdzie jest w tym czasie Gabriel Pasternak?

W kolejnej historii zderzamy się z czymś tak codziennym, banalnym, że aż trudno uwierzyć, jak jedno spotkanie może doprowadzić do zmiany biegu życia, a u niektórych jego nagłym zakończeniu. Oto do restauracji wchodzi mężczyzna. Siada przy stoliku i gestem dłoni przywołuje kelnerkę. Kelnerka podchodzi, by przyjąć zamówienie i nagle orientuje

wyzwolić się od jarzma obowiązujących przepisów prawa, czy społecznych ram zachowań. Dzieje się tak najczęściej pod wpływem gniewu i poczucia niesprawiedliwości. Ale nie dokonujemy tego, bo jesteśmy bezustannie od kołyski, aż po śmierć poddawani presji zachowań. Przez lata edukowani i indoktrynowani w przedszkolu i szkole, a także rodziców, otoczenie i wszechobecne media, stajemy się niewolnikami systemu. Przestrzegamy prawa i chcemy by inni też je przestrzegali. Są jednak momenty w życiu, które bardzo trudno ubrać w ramy prawne, raczej dotyczą zwykłej kultury, empatii i wyobraźni.

Dochodzimy zatem do trzeciej historii, która powinna być bliska przede wszystkim kierowcom



i im bez wątpienia dedykowana. Zazdrość o to, że ktoś ma lepszy i nowszy samochód, to nie jest tylko mentalna cecha naszego społeczeństwa, choć możemy się pochwalić, że polscy kierowcy uważają się za najlepszych na świecie, a do tego traktują swój pas jezdni i przeciwniegi pas jezdni za własny, szczególnie na zakrętach. W konsekwencji mamy w ramach polskiego pejzażu lasy przydrożnych krzyży.

Wróćmy jednak do epizodu. Argentynska pusta droga z pięknymi wypalonymi przez słońce górzystymi krajobrazami, może być w równej mierze zamieniona na mazurskie zielone pagórki, soczyste lasy i błękitne jeziora. Wszystko jest piękne i romantyczne w obu geograficznie miejscach, ale do czasu, gdy na tej samej drodze nie spotkamy innego kierowcy, któremu możemy się nie spodobać z jakiegokolwiek powodu. A to może być obca rejestracja, nowszy samochód, stary samochód, nie ta fryzura, wrażenie, że jest się innej orientacji seksualnej czy nawet kolor pojazdu lub niekorzystne spojrzenie, już nie daj Panie Boże pokazanie gestem, co myślimy o użytkowniku drogi. Konflikt jest nieunikniony, jeśli tylko obaj kierowcy są przekonani o swojej wielkości, mądrości, poczuciu siły i innych prymitywnych argumentach. Tak głębokie przekonanie ubrane w emocje może się skończyć jak w przypadku tej historii, wspólnym groteskowym, namiętnym odejściem w niebyt, co wspaniale zostało pokazane w tymże epizodzie.

Czwarty temat, który wymyślił scenarzysta Luis Bunuel, po części również bliski kierowcom, może się niektórym nie spodobać, ale jakoś najbardziej przypadł mi do gustu w kwestii rozwiązywania problemów z funkcjonowaniem systemów administracyjnych państwa wobec obywatela. W dobie wszechobecnego lęku przed terrorystami i zamachami, ta część wydaje się być kontrowersyjna, ale mam wrażenie, co pokazuje filmowy przykład, że główny bohater nie miał wyjścia i jako inżynier i specjalista od materiałów wybuchowych, wykorzystał potencjał wiedzy i doświadczenia dla dobra społeczeństwa. Epizod ten pokazał jak odległa jest przestrzeń między obywatelem a urzędnikiem. Niby ten sam język, a wrażenie, jakby się miało do czynienia z UFO. UFO na dodatek wyciąga od społeczeństwa pieniądze w ramach prawa ustawodawczego. Od średniowiecznych czasów pańszczyzny i danin, nic się nie zmieniło. Wciąż szary obywatel w gąszczu niezrozumiałych marsjańskich przepisów wyciąga kolejne ciężko zarobione pieniądze, by zaspokoić partykularne potrzeby aparatu państwa. A obywatele zabiegani, zatyрани, zakredytowani na dziesiątki lat i na wszelakie sposoby zadłużeni nie dostrzegają, że są niczym barany pędzone na ekonomiczną rzeź. Czy to się dzieje w Argentynie? Tak, i też w demokratycznym państwie zwanym Polska.

Piąty epizod „Dzikich Historii” to przede wszystkim precyzyjnie pokazana natura człowieka, która dla pieniędzy i za pieniądze robi wszystko. Naćpany synus bogatego ojca doprowadza do wypadku, zabi-

jając kobietę z dzieckiem i ucieka z miejsca przestępstwa. Ani przez sekundę rodzina nie myśli o zabitej kobiecie i dramacie rodziny, tylko o tym jak uratować synka przed więzieniem. Czy to naganne? Ależ nie, bo żaden rodzic nie chciałby, by jego dziecko znalazło się w więzieniu. Jakież znaczenie ma życie drugiego człowieka, szczególnie gdy nie jest on nam bliski? Zatem kwestia sprawiedliwości, to kwestia pieniędzy. Skąd my to znamy? Jak to kiedyś powiedział pewien minister sprawiedliwości – „...żyjemy w demokratycznym państwie prawa”. Zapomniał jednak dopowiedzieć, że prawo jest zawsze po stronie władzy i siły pieniędzy, za które kupienie sprawiedliwości jest tylko kwestią ceny.

No i szósta historia, to żydowskie wesele. W pięknym hotelu rozpoczyna się radosny wieczór z muzyką, śpiewem i tańcami. Cóż może zakłócić tak niepojęte szczęście zakochanej w sobie młodej parze? Otóż młoda małżonka zagląda do telefonu męża, gdy ten towarzyszy innym weselnym gościom i wybiera numer telefonu nauczyciela gry na gitarze, u którego uczył się ukochany mąż. Telefon odbiera jednak nie nauczyciel, a gość weselny w postaci długonogiej pięknej niewiasty. Z pewnością było nietaktem ze strony pana młodego zaproszenie koleżanki z pracy, z którą, jak się później okazało nie tylko łączyły go stosunki służbowe dla dobra korporacji. To co działo się później dowodzi jednego, że nie należy zaglądać do czyjegoś telefonu, nawet jeśli jest to twój świeżo poślubiony mąż, bo konsekwencje mogą być dramatyczne. Odkrycie prawdy nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem. Było jednak za późno i trzeba było coś zrobić. Najlepszym sposobem jest oddać się bezkresnej namiętności zemsty. I tu pozwolę sobie na puentę – Bardzo kruchy jest mur odgradzący miłość od nienawiści.

Film „Dzikie historie” w reżyserii Damiana Szifrona swoją premierę miał w 2014 roku. Był to najbardziej popularny film w Ameryce Południowej, okrzyknięty na festiwalu w Cannes jako rewelacyjny i nominowany do Oscara. W Wielkiej Brytanii oznaczony dodatkowymi informacjami i ostrzeżeniami, że nie jest to fabuła oparta na faktach w związku z tragiczną katastrofą samolotu, jaka miała miejsce w 2015 r. we francuskich Alpach. W Polsce nie specjalnie zauważony, może dlatego, że kinematografia polska, media i krytycy podniecali się w 2015 r. filmami jak to Polacy mordowali Żydów.

Polecam tę argentyńską produkcję i ubolewam, że żadnemu polskiemu reżyserowi nie przyszło do głowy zrobić filmu, jak to jest w Polsce. No ale może dlatego, że nie dostałby od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego żadnego wsparcia, co nie oznacza, że nie ma znakomitych filmów rozprawiających o tym jak się żyje w naszej ojczyźnie. Niech przykładem będzie znakomity film Ryszarda Bugajskiego, „Układ zamknięty”, niestety oparty na faktach.

Polecam z czystym sumieniem oba filmy.



Gra zespołowa, 2016



Gra wstępna, 2016



AREK DZIECZEK
fotograf i animator
specjalizujący się
w działaniach z zakresu
edukacji wizualnej. Ma
na koncie kilkadziesiąt
realizacji warsztatowych
z obszaru fotografii oraz
video w kraju i za granicą.
3-krotnie otrzymał
stypendium Ministra
Kultury Dziedzictwa
Narodowego.





JOANNA
BUDZYŃSKA
Jako uczennica szkoły
podstawowej zaczęła
pisać opowiadania i inne
krótkie formy prozatorskie.
Obecnie interesuje się
poezją współczesną.
Lubi też fotografować.

dlaczego milczysz
kiedy tży jak perły czyste
a to co banalne
okazuje się nie do zrobienia
czemu zawsze odchodzisz
przychodząc w starych zabłoconych butach
jak nie pytać ciszy o jej melodię
zagubioną w ferworze pytań o nieodzowne
jutro

zgarniam z czoła cień wczorajszej nocy
ale pajęczyna rozsnutych wspomnień
całkowicie zasnęła mi oczy
w gardle utknął cierniowy potok słów
i niespodziewanie rozsypałam się
w drobiny gradowych nieszczęść
a potem spadałam gubiąc się nieustannie
chodziłam po omacku szukając fiołków
w piwnicy wybrukowanej ostrymi kamieniami

pomiędzy niebem a ziemią
trwam
otwarta muszla
nad brzegiem życia
co obnaża z niewinnych uśmiechów
zawieszonych nad sufitem naszej nadziei
w kamieniach szlachetnych
doszukuję się niepospolitości
blasku słońca
co poskramia nieskończone apetyty
otwieram szeroko oczy
by zasłonić twarz
za woalem okłamanej miłości
ukrywam speszoną wiarę

w obskurnej poczekalni
patrzę przez szare szkło okna
jak mokną rozdarte parasole
tańczą gorzkie wymioty
urojenia mieszają się z nostalgią
a oni nie czują zupełnie
pogrzebowych marszów transcendencji
pospiesznie zerkają na rozdygotane minuty
jeszcze tylko chwila
a spadnie rozwścieczony piorun
potarga koronami drzew
przestraszy wszystkich mocarnym krzykiem
i odfrunie na dywanie z zaspanej mgły

u Pana Boga za piecem
łaki umajone barwnym kwieciem
kuszą słodką ciszą
bociek z dumnie rozpiętym skrzydłem
uraczony cichym śpiewem hosanny
nucącego przed Kościołem
Zastępu świętych Pańskich
rozanielone słowiki trelą
radosne ody do wolności
zapraszając przypadkowych podróżnych
do swojego rajskiego domu
wyściełanego dywanami pysznych zieleni
rozświetlonych uśmiechem błękitu nieba
i tylko jakaś wściekła mucha
bzyzcząca natrętnie koło ucha
przepętnionego dobrotliwym spokojem
czasem niespodziewanie utnie
wkluwając ostrą igłę w skórę
sprowadzi na ponurą ziemię

interpunkcja

stawiam kropkę
po każdym wyrazie
jakoś niewyraźnym
osądzając go zdaniem
a przecież wiem
że to tylko przystanek
chwilowy zamęt myśli
który zaznacza się
znakiem przestankowym
i wtedy powinien zaistnieć
przecinek który odcina
od świadomej rzeczywistości
spychając mnie
w nieświadome
niewolnictwo przeszłości
wówczas zamieniam się
w wykrzyknik i pytajnik
jednocześnie
krótki dwukropek
wyjaśnia niejasności
a potem długi myślnik
pojawia się by powątpiewać
w sens niektórych słów
wyrażających stabilne myśli
i kiedy wreszcie
próbuję je okiełznać
w cały ten rozgardiasz
przeciska się
tajemniczy wielokropek...



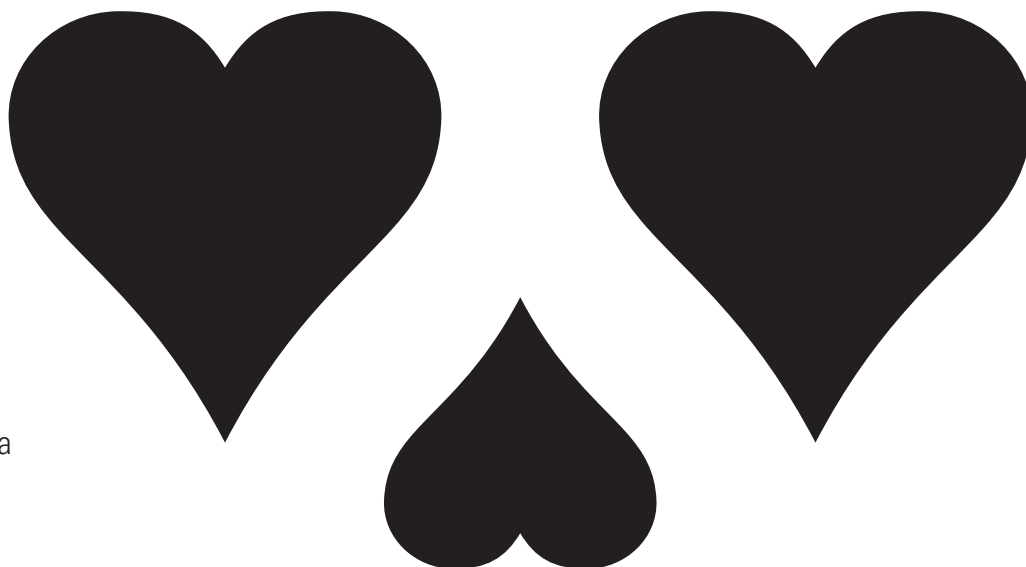
NATALIYA MURYN
Pochodzę z Ukrainy,
mieszkam w Giżycku. Piszę
„o wszystkim i o niczym”,
kiedy znajduję wolne chwile
w przerwach pomiędzy
lekcjami, na których uczę
swoich kursantów języków
obcych... a sama uczę
się z nimi i od nich języka
polskiego.

Co?

To boli mnie, a nawet kłuje,
to cieszy mnie i zaskakuje
i cały czas nurtuje.
To mnie zatruwa i rujnuje,
to mnie doświadcza i hartuje,
bawi mnie i prowokuje.
To gnębi mnie i oszukuje,
to we mnie żyje, bije, grzmi.
To często jak melodia brzmi.

Wizytka

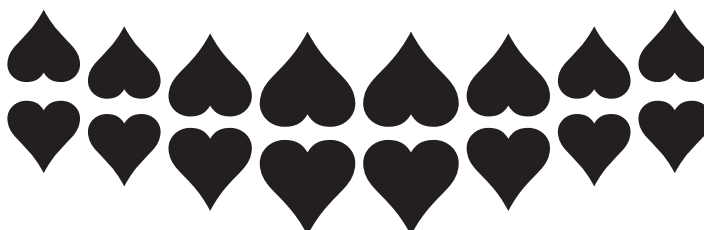
Gdy masz wszystkiego szczerze dość,
bo życie daje w kość,
gdy cię dopada straszna złość
u progu nagle staje gość
„Dzień dobry, – mówi – jejmości.
- Czy może szuka pani miłości?
Ty stoisz w miejscu, jak ten słup!
„Miłości?! przecież ja żem trup!”



O, sałatka!

Dobra była ta sałatka,
śledź, warzywka i ćwikła
niby taka prosta
a jednak niezwykła

Zjadłam niemal z pojemnikiem
nie przytyłam wcale
Po tym specyfiku
czuję, że niedbale
i zupełnie od niechcenia
mogę coś napisać
na cześć
podniebienia



On

Tak wiele przeszedł dróg
tak dużo się doznało wrażeń
że gdyby tylko mógł,
to by zatrzymał bieg wydarzeń
Krzyczałby: nie!
Na klucz by zamknął drzwi,
na ludzi ponarzekał, los i Boga
I strach by go ogarniał,
jak przed obliczem wroga
A musi trwać, ten biedak musi trwać!
I pisać wiersze,
gdy już nic nie pozostaje.
I cieszyć się, że wciąż go na to stać
A za oknami już początek maja

Do czarującego Czarka

Przystojniaku, Czarku!

Co się dzieje, że piszę rymy o poranku?
sądziłam, że to sprawa dawno zapomniana,
ale w głowie natłok myśli od samego rana,
więc rymuję na papierze, w formie dokumentu
i próbuję się doszukać trafnych argumentów.
Wiem, że wiosna i gorętsze słońce na kobiety działa,
endorfin bez mała

Ale rymy, o mój Boże! Jakieś anomalia!
Chyba całkiem zwariowała anglistka Rozalia
Teraz buźka już na kłódkę, bo powiem zbyt wiele.
Przyjdź, usłyszysz całą resztę w najbliższą niedzielę.

Pisałabym
o wszystkim i o niczym
o tym, że serce mocno krzyczy
że nerwy wciąż na niewidocznej smyczy
że mam serdecznie dość tej ziemskiej dzicy



Sentencje krótkie, aforystycznie skondensowane, bywają wynikiem długich przemyśleń, tak jak długie rozważania bywają spowodowane niedostatkiem przemyśleń.

Stefan Kisielewski

Odwaga to panowanie nad strachem, a nie brak strachu

Mark Twain

Strachy, co za luksus dla wyobraźni

W imię dawnych czasów robi się największe głupstwa w teraźniejszych

Przypadkowe spotkanie jest czymś najmniej przypadkowym w naszym życiu

I popatrz – ledwie poznaliśmy się, już życie knuło co mogło, żeby nas poróżnić

Julio Cortazar

Na imię mu było Witold, nazwisko – Gombrowicz
Z pozoru był to sobie zwykły spacerowicz
Lecz tkwiła w nim dzika dziwność nieświadoma
siebie
Z tego konia będzie kiedyś niezłe źrebię!

Witkacy

Nędzne moje słowa
ale one echem się odbijają od was i rosną
waszą powagą – powagą nie tego
kto mówi, a tego kto słucha.

Głupio mówię
ale wy mądrze mnie słuchacie, i dlatego
mądry się staje.

Świętość, majestat, władza, prawo, moralność,
miłość, śmieszność, głupota, mądrość, wszystko
to wytwarza się z ludzi, jak alkohol z kartofli.

Witold Gombrowicz

Dialog, zasłyszany w jednym z lokali na Saskiej Kępie. Prowadziło go dwóch gości niewielkiej piwiarni, siedzących naprzeciw siebie przy piwie, z flaszką napoczętej wódki przy nogawce jednego z nich. Sami byli dawno napoczęci, twarze nabrzmiały, wzrok przyblakły. Jeden z nich zamyślił się i nagle oświadczył

- Wiesz, zabiłbym kogoś.
- Kogo byś zabił? – zapytał ten drugi.
- Ciebie bym na przykład zabił. Chcesz? – zaproponował pierwszy.
- Sam się zabij – beznamietnie poradził drugi.
- To nawet niezły pomysł. Ale nie mogę tego zrobić, bo byłby to grzech śmiertelny. Nie da się odkupić.

Dylemat

Z każdą dziewczyną ma ten dylemat
czy to znów fraszka, czy może poemat?

Marzenie dwulicowca

Ciągle o tym marzy,
by pozbyć się drugiej twarzy

Przeciwności

Tam gdzi polityka
kończy się logika

Wątpliwości

Czy to występek,
że lubię jej pępek?
Albo wykroczenie,
że także siedzenie?

Szukano w Konopkach Wielkich
raz we zbożu konopielki
Edward Redliński nawet
z zachwytem ujrzał pośladek
pewnej nauczycielki

Raz jesienią w Staświnach
wypił z wiśni Staś wina
a że miało pruski kwas
trzymało go dłużyj czas
więc poszukać musiał klina

Do Wróbla leciały wrobelki
na ptasi koncert wielki.
Kiedy mijały Ranty,
usłyszały kuranty
i zaginął po nich słuch wszelki

Ryszard Boczoń,
giżycczanin

Wieczór detektywa Knappa

Detektyw Knapp radził sobie świetnie. Zwykle detektywi wieczory spędzają w ciemnych zaułkach w podejrzanych dzielnicach, stojąc w strugach deszczu w długim płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, obserwując koty ukrywające się pod rynkami. Wieczór detektywa Knappa był zgoła odmienny. On właśnie najlepiej czuł się wieczorami, kiedy zasiadali z żoną do wspólnego palenia wodnej fajki. Dzieci nie posiadali i posiadać nie chcieli, toteż problem ewentualnych powideł można odrzucić na wstępie. Wtedy rozsiadał się wygodnie w fotelu i patrząc w kolorowy sufit próbował rozwikłać kryminalne zagadki. Żona dotrzymywała mu towarzystwa, od czasu do czasu wspomagając męża rozwiniętym, jak jasna cholera, intelektem. Ten dzień był jednak wyjątkowy. Nie dość, że teatr był w remoncie, to jeszcze brak zabójstw w okolicy strasznie trapiły detektywa. Szczęśliwie nasz bohater potrafił wypełnić sobie czas abstrakcyjnymi rozważaniami, a wisienkę na bagietce stanowiła rzeczowa konwersacja z żoną. Prowadzili rozmaite dywagacje na rozległe, niczym poleskie bagna, tematy. Dlaczego poleskie, to kojarzę, ale nie zdradzę. Ulubione działy rozważań detektywa, to tradycyjne metody produkcji obuwia skórzanego i – bardziej filozoficzne – o zbiegach okoliczności. Szczególnie ten drugi odgrywał wiodącą rolę w rodzinnych konwersacjach przy butli. Zresztą, to właśnie zbieg okoliczności pozwolił detektywowi rozwikłać zagadkę kradzieży miedzi w urzędach skarbowych. Podobnie było z „ośmiornicą z Mietkowa”, gdzie natrafienie na pobliskie złoża torfu implikowało rozwikłanie zagadki szajki „wyprowadzającej” nieodpłatnie siano z paśników. Często też detektyw podejmował tematy na wskroś lingwistyczne. Bo dlaczego mówi się „mieście”, a nie „miaście”, jeśli mianownik oznajmia „miaśto” a nie „miasto”. Tak samo było zawsze z ciastem i lasem, natomiast z czasem już nie. Sam czas odgrywał dla detektywa Knappa rolę uzupełniającą, ograniczoną do osiągania dobrych wyników na ergometrze wiosłarskim. Do językowych rozważań żona włączała się rzadko, uważając, że najlepszym rozwiązaniem na filologiczne rozterki męża jest teatr. W remoncie. Detektyw Knapp rozważał zresztą ewentualność, w której remont teatru stanowi spektrum działalności przestępczej. I tak wieczorna sjesta trwała dalej, choć postępująca gonitwa myśli powodowała, że mózg detektywa przypominał jedną wielką płataninę kabli. Gdzieniedzie brak izolacji powodował niebezpieczne spięcia, co prowadziło nieuchronnie do paranoi. Wtedy żona wychodziła, udając się na spoczynek, a Knapp zostawał sam z własną mózgownicą. Nie był to umysł ciasny, raczej ciasna czaszka nie pozwalała w pełni rozwinąć skrzydeł obfitej zawartości. Po wyjściu żony detektyw rozkładał się jeszcze bardziej bezwstydnie na fotelu i czerpiąc radość z samotności obmyślał swój następny ruch. Mimo każdorazowych, świetlaną przyszłością zakrapianych przemyśleń, zwykle

koniec był dość siermiężny tj. w postaci fury kanapek i Bacha na dobranoc. Uwielbiał nasz bohater słuchać Bacha, na którego urodziny sprawił sobie wielkie jak miednice słuchawki. Dzięki nim czuł drganie każdej z nut, czuł bicie własnego serca tak, jakby wsłuchiwał się w grzmot serca Bacha lub nawet w odgłosy pralki automatycznej. Bo detektyw Knapp uwielbiał chodzić w czystej koszuli. Bach zresztą wyzwał w detektywie dodatkową porcję emocji związanych z myśleniem. Nieszablonowym. Pewnego razu Knapp obmyślił śmiały plan pobicia wszędobylskiego zakażenia krwi. Paraliżujące organizm „zapychanie się” naczyń krwionośnych zmyślił eliminować wstrzyknięciem środka do udrożniania kanalizacji. Szczęśliwie dla reszty świata, rano niewiele z tego pamiętał i tylko bił się myślami podejrzewając, że dzięki obmyślonemu wieczór wcześniej wynalazkowi, mógł dorobić do jałowej policyjnej pensji. Tymczasem żona spała w domu pogrążonym w ciemności, w którym – także pogrążony – ale w myślach małżonek powoli acz nieuchronnie zbliżał się do momentu pójścia w otchłań mroku. I tak to sterany Bachem i kanapkami detektyw Knapp zasypiał w fotelu, by rano móc w pełni niewysłownego szczęścia, podążyć do pracy z nadzieją na jakąś grubszą sprawę...





ARTUR URBAŃSKI
Urodziłem się 50 lat temu
w Poznaniu. Ukończyłem
Akademię Rolniczą.
Od zawsze fascynowała
mnie przyroda i etnografia,
wędrowałem po dzikich
miejscach i zaczytywałem
się książkami o Indianach,
Słowianach, Celtach i Pru-
sach. Od 23 lat mieszkam
w Szczytnie, pracuję
w geodezji. Stan prawie
wolny. Co lubię? Albo łązę
po lesie słuchając, co gada,
albo przesiaduję w pubie
również słuchając... muzyki
i ludzi. Nadal sporo czytam.

Publikacje – wiersze
w 1985 – tyg. „Radar”; III
nagroda IV Ogólnopolskim
Konkursie Literackim
o „Nagrodę Kortowskiego
Kormorana”; wyróżnienia
– w X ed. konkursu
poetyckiego „O Ostródzki
Laur Zielonego Liścia
im. M. Kajki”, w konkursie
literackim „Niech moja
twórczość dotknie twego
wnętrza” w Szczytnie.
Wiersze – w antologii „Baśń
Czereśniowa – duchowa
poezja ziemi”; w antologii
„Zielony Śpiew Ziemi”;
wiersze przełożone na język
pruski w antologii „Prusiska
chrestomatia” – wyd.
litewskie; w „Małej Antologii
Poezji Rodzimowierczej”;
w miesięczniku Odra.

Moja droga do Boga

Idę sobie drogą
Boli mnie już noga
Spotkam moją drogą
Albo prędzej Boga.

Kupię sobie czapkę
Dla miłej korale
Napiję się kapkę
Bo spadło morale.

Człapię krok za krokiem
Głowa mi się kiwa
Coś nie tak z rozkrokiem
Pęka mi od piwa.

Nie dojdę nie dojdę
Pod mój dąb kochany
Znajdą mnie niedojdę
Będę już zalany.

Żaden cud z ciebie

Dogoniłem cię kiedyś
Na żwirowej ścieżce
Pamiętasz ?
Nie miałaś na sobie
Nic szczególnego
Ot kształt ledwie opięty
W konwenanse.

Obywatelski sprzeciw?

W buntowniczym śnie
każde słowo
wykrzyczane do siebie samego
w lustrze
nagle stygnie
nie ma nawet siły
by spłynąć po szkle
skorupa za skorupą
narasta
aż wreszcie
by uwolnić swoje odbicie
nie ma innej możliwości
jak tylko rzucić
czymś ciężkim
i obudzić się
wśród ruin pozoru.

Racje prowincjonała

Nigdy nie zrozumiesz
myśli słońca
wilk także jest dla ciebie
nierealny,
lód na brudnej kałuży
to całe twoje gadanie.

Nawiedzenie

Drzewa ukrzyżowane
na znakach zakazu
gwoździe sterczą
z ich obolałych piersi
hełmy rzymskie
przywdziała policja
i straszy tłum
głodny sławnej karmicielki
z okien świątyni
stuwatowe głośniki
powtarzają słowa akwizytorów
bo w mieście
spektakl stulecia
jedyny taki seans...

Nie słuchaj tego,
nie słuchaj tego Matko Cisy,
nie słuchaj tego Matko Spokoju,
to nie Twoje miejsce!

Pożegnanie Zielonego Smoka (niegdysiejszy pub w Szczytnie)

Szukam inspiracji
Zielony Smok
może być objawieniem
sięgam ręką nieba
dzikiej gęsi
i trzepotu skowronka
moje słońce
to moje słońce
oświecła czarne graffiti
znowu oddycham
podziemiem.





ALEKSANDRA
LEMAŃSKA

Pisze od siódmego roku życia. Zaczynała od wierszy i opowiadań, pisanych raz do szuflady, raz na łamy czasopism i gazet. W międzyczasie napisała pracę magisterską z psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie pisze przede wszystkim projekty dla młodzieży, prowadząc od 2012 roku Fundację Alternatywnej Edukacji „ALE”.

FELIETON

Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru

Mówią, że „kobieta bez faceta jest jak ryba bez roweru”...

Po co rybie może być potrzebny rower? Może być to jej ostatnia podróż, jeśli zostanie powieszona w wiaderku na bagażniku rowerowym rybaka prosto znad rzeki czy jeziora do garnka czy na patelnię. W takiej sytuacji ryba bez roweru jest wolną rybą z przyszłością i perspektywami. Nie grozi jej podróż na pewną śmierć. Nie pluje sobie w skrzel, że dała się złapać na jednego nędznego robaka... Nie wzdycha na wspomnienie koleżanek singielek, wyruszających w pełnej krasie na podwodne żerowiska. Na dnie jeziora i w nurcie rzeki nie ma żadnego haczyka.

Może być jednak tak, że jest to rower dziecka, które właśnie kupiło rybkę w sklepie zoologicznym i wiezie ją do domu w małym słoiczku, w rowerowym koszyczku, po to, aby rybkę udomowić, oswoić i cieszyć się jej pięknem w domowym akwarium. Oczywiście, mogą tam pływać inne rybki... Ale równie dobrze może być tą jedyną, kochaną, podziwianą – ozdobą dziecięcego pokoiku, dumą przed kumplami z podwórka, obiektem troski i poświęcenia. Tak czy owak, w sklepie zoologicznym, w zbiorowym akwarium, wystawiona na codzienne oględziny wielu par oczu, rybka może wieść długi, nudny i nikomu niepotrzebny żywot. Co gorsza, jeśli się zestarzeje (a starzeje się szybko), pójdzie na żer dla innych, większych rybek, żółwi, jaszczurek lub węży.

Wersja historii z rowerkiem i pokojem dziecięcym może jednak smutnie zakończyć. Rybkę zje kot lub pies. Zdechnie z głodu, bo dziecko przestaje się nią interesować. W najlepszym przypadku pieczę nad akwariem przejmuje tata, starszy brat, dziadek. Lub pewnego dnia rybka ląduje w toalecie.

Ale jeśli to rower wpadł do jeziora i zatonął, stając się podwodnym wrakiem obrosniętym miękkim pluszem glonów? Przemile, bezpieczne schronienie. Źródło pożywienia roślinnego i zwierzęcego. Ostoja i podpora. Idealna do złożenia ikry i wychowania kolejnego pokolenia... Rybie wprowadzić do tego samego mógłby się przydać każdy inny wystarczająco duży i nieco bardziej złożony w budowie przedmiot. Kaloryfer na przykład. Kosiarka. No, samochód to już luksus. Ale rowerem nie pogardzi.

Gorzej, jeśli pomiędzy szprychami roweru lub pod siedzeniem zaczai się jakaś większa mięsożerna ryba... Szybko wysiedli mniejszą rybkę i stanie się nową władczynią i gospodynią podwodnej hacjendy.

Pamiętajmy jednak, że w od zarania świata zdarzały się w baśniach i legendach czarodziejskie rybki. Złote, zaklęte, wszechmogące. A te mogą mieć wszystko, nawet rower. Co więcej, mogą na tym rowerze jeździć. A jeśli zechcą, mają moc przemienić go w cokolwiek innego. Skuter, toyotę lub maybach, pociąg, samolot na wyspy Bora Bora. A jeśli już nie tak, to przynajmniej w księcia z bajki, który chętnie je pocałuje, by odnaleźć swoją księżniczkę.



MAREK SAMSELSKI

PALINDROMY

Palindrom to wyraz, zdanie albo utwór, który czyta się tak samo w obie strony, tzn. od początku do końca i od końca do początku. Z greckiego „palin” oznacza „z powrotem” i „dromos” – czyli „bieć”. Dawno, dawno temu, w raju padło pierwsze w świecie palindromowe zdanie – Madam, I’m Adam. Tak przynajmniej twierdzą Anglicy. Polskie palindromy znajdziemy w książce Juliana Tuwima „Pegaz dęba”. Przytacza w niej Tuwim popularny – KOBYŁA MA MAŁY BOK. Sam proponuje bardzo piękny. Oto on:

AMOR GADA... PARK... SIOŁO... KWIAT...
I WONNA ŁEZ ROSA NA ULU. A NAS ORZEŁ,
ANNO, WITA I WKOŁO ISKRA PADA. GROM! A!!!

W połowie lat dziewięćdziesiątych Stanisław Barańczak – poeta, krytyk literacki i tłumacz poezji, wydał tomik „Pegaz zdębiał”, w którym próbuje zmagać się z oporną palindromową materią, proponując palindromadery, jak je nazwał. Są to teksty sięgające dwustu liter, które trzymają sens, chociaż są z gatunku purnonsensu, i czyta się je w obie strony. Sporo w nich zapożyczeń z obcych języków. Jest jasne, że tworzenie palindromów w polskim języku jest szalenie trudne. Niejaki David Stephens ułożył palindrom w języku angielskim, składający się z ok. sześćdziesięciu tysięcy liter. W naszym języku długie na kilka tysięcy liter palindromy są dziełem Tadeusza Morawskiego. Nie trzymają one sensu, podobnie zresztą zapewne jak tekst Stephena. A Morawski jest autorem pięknych miniaturzek palindromowych, liczących po kilkanaście, kilkadziesiąt liter.

Tekst długiego palindromu z sensem, acz myślą nieco pogmatwaną, napisał Tuwim. Brzmiał on tak: „A NO, SAM MAJ TRAPI; SANATORA KUJAW MARTWI TO, ŻE TA SANACJA BAJC; A NAS? A TEŻ! OT, I W TRAMWAJU KAROTA! NASI! PARTIA MASONA!”

Spróbowałem ułożyć palindrom dłuższy i wyszedł z tego tekst na tyle z sensem, że opublikowało go pismo Sowa, wydawane

swego czasu przez wydawnictwo Prószyński i s-ka. Oto taki:

A HUZAR ZŁY TWARDÓ: „I BOŻE, TO TY?!”, ŻE LANIE I NAUKĘ, LECZ CO TO? – W CELU POPISU MIECH CIBOR JE HUZAR, DOŃ OKO KOŃ OD RAZU, HEJ, ROBI. CHCE I MUSI POP ULEC W OTOCZCE LĘKU. A NIE, I NALEŻY TO TEŻ, O!, BIODRA W TYŁ ZRAZU, HA!

A potem, włączając się we współzawodnictwo w środowisku szaradzystów, ułożyłem ponad czterystuliterowy palindrom, oczywiście z myślą krętą i zawiłą. Niespodziewanie welodrom wykorzystali automobilści i stąd pewnie powstało to całe zamieszanie.

Tu las, kępy mam o też, obym kulawo łągał; ad rem, unikat, cisza rety! Mamo, ten dom, to ma wieża, kopce, i pukaj no sam, mowa, ba, zadyma, raj! Atut, że tor, tu ja, welodromu huk? Ryczą moce i widz, arena, pokazał i samą jazdę na tak solo Otokar But. Ikar, o tam! Auta te miną wał. Są, widzę. Już meta, zatem żuję z diwą Sławą, nim etatu amatora kitu brak, oto o los – kat, a nę-dza ją ma... siła. Zakopane, raz diwie co mą z cyrku, humor dolewa. Jutro też tutaj, a ramy da zabawom mason, jak upiec pokaże i wam. Ot modne to mamy teraz (sic!), taki numer dała głowa, luk my, Boże, to mamy pęk. Salut!

Popularnym zadaniem, publikowanym w pismach szaradziarskich jest wierszyk, właśnie pod nazwą palindrom. Ma on część tekstu wy kropkowaną, a rozwiązanie polega na prawidłowym wpisaniu liter tak, by wpisany tekst był palindromem. Palindrom może być zawarty w limeryku. Proszę bardzo, taki proponuję:

Pewien erotoman w szczycieńskim powiecie
miłość w sercu Celi motorkiem wzniecił
w niedzielę ją ośmiela
skutecznie, no

.. .. .

Rozwiązanie wewnątrz numeru



Działdowska Kuźnia Słowa

Działdowska Kuźnia Słowa zaistniała w listopadzie 2011 r. To były cykliczne spotkania grupy zapaleńców, w tym uznanych już literatów, którzy stwierdzili, że można działać wspólnie integrując wyjątkowo liczne lokalne środowisko twórców i realizując wspólne cele. Aktualnie to już w pełni ukształtowane, prężnie działające stowarzyszenie literatów i miłośników literatury z powiatu działdowskiego.

Działalność DKS jest życzliwie odbierana i wspierana przez lokalne władze samorządowe. Dzięki współpracy z lokalnymi instytucjami kulturalnymi takimi jak M.D.K. czy M.B.P. oraz własnej nadprzeciętnej aktywności członkowie DKS zrobili w niedługim czasie imponującą wiele. Przewodniczącą Stowarzyszenia jest od początku działalności Renata Buczyńska, lokalna poetka, która podkreśla jednak,

które utrwalają dorobek literacki twórców z powiatu działdowskiego. Te publikacje również powstają głównie dzięki pomocy lokalnych samorządów, choć coraz częściej sponsorami są też prywatne firmy i różne instytucje. Bywa też, że wydają je sami autorzy w profesjonalnych wydawnictwach. Poza publikacjami autorskimi wspieranymi przez SDKS poprzez ich promowanie, poeci z DKS zredagowali VII działdowski almanach poezji pt. „Tam, gdzie rodzą się wiersze”, mławsko-działdowski almanach poezji pt. „Zbliżenia 3”, książeczkę dla dzieci p.t. „Vigusiowa Kuźnia Słowa”. Najbardziej oczekiwaną i ważną dla członków SDKS publikacją zbiorową był jak dotąd „Portfel Literacki” pod redakcją Benedykta Perzyńskiego – wydawnictwo sfinansowane przez Starostwo Powiatowe w Działdowie, w którym

DKS



że jest tylko koordynatorką działań. Dodaje, że jej zdaniem bardzo ważna jest wzajemna sympatia i rozumienie wspólnych celów, bo to sprawia, że na organizowanych raz w miesiącu spotkaniach jest duża frekwencja. W DKS powstają ciągle nowe, ciekawe projekty. Do najbardziej rozpoznawalnych imprez kulturalnych, których Działdowska Kuźnia Słowa wraz z MDK Działdowo jest współorganizatorem należy cykl letnich spotkań pt. „Powiatowe Wieczory z Poezją”; pierwsze odbyło się w 2013 r.. Są one oparte o współpracę z Wojciechem Kassem, znanym poetą i eseistą, kustoszem Muzeum K.I. Gałczyńskiego w Praniu, który wielokrotnie z Działdowie gościł i lokalne środowisko twórców poznał. Imprezę finansuje od początku Starostwo Powiatowe w Działdowie. Formuła spotkań jest, można rzec, unikatowa. W jej ramach znane postaci ze świata filmu czy teatru prezentują na plenerowej scenie utwory lokalnego poety/pisarza czyniąc tę twórczość rozpoznawalną w szerszym gronie. Wśród tych znanych postaci, interpretujących naszych twórców, znaleźli się Adam Ferency, Wiktor Zborowski, czy Wojciech Malajkat. To oryginalna i trwała promocja lokalnych twórców. W każdej edycji takich spotkań jest 5–6. Najpierw odbywały się na działdowskim rynku, następnie zostały przeniesione do parku przy nowej siedzicie MDK. Mieszkańcy Działdowa kochają te spotkania, o czym świadczy licznie gromadząca się na nich publiczność.

Co ponadto? Bardzo ważne dla członków Stowarzyszenia są publikacje indywidualne i zbiorowe,

zaprezentowali swoją twórczość w indywidualnych tomikach niemal wszyscy członkowie DKS.

Ale to nie wszystko. Bardzo sprawnie rozwija się projekt współpracy ze szkołami ponadpodstawowymi nazwany przekornie „Spotkaniami z żywym poetą”. Docieramy w ten sposób do młodzieży szkolnej, zachęcając do czytania i realizowania swoich pasji. Lubimy działać nieszablono. Łączymy np. prezentację naszych wierszy z ruchem scenicznym tworząc historie „na temat”, czego przykładem może być spektakl przedstawiony w MDK Działdowo pt. „Miłość w poezji i piosence czyli Kochaj mnie!” czy przypominając sylwetki i twórczość nieżyjących już pisarzy z naszego regionu, tak jak w przedstawieniu „Zaduszki poetyckie”. Ostatnio, wraz z Biblioteką Miejską wystawiliśmy spektakl o Stefanie Żeromskim. Mamy już zaproszenia do pokazania go w innych miejscach, więc na pewno był to udany występ.

Jeśli do tego dodać wspólne kołędowanie z lokalnym chórem Concentus i Our Voice pod dyrekcją Danuty Czczot, poetyckie biesiady z twórcami z Mławy, Ciechanowa, Przasnysza czy uczestnictwo w licznych spotkaniach promocyjnych z okazji wydarzeń kulturalnych można uznać, że w sferze działdowskiej kultury nasze stowarzyszenie jest rzeczywiście aktywne. To głównie zasługa członków grupy.

Staramy się integrować nasze środowisko, wciąż przyjmujemy nowych członków i aktywizujemy ich poprzez włączanie do realizowania wspólnych projektów. Czy nam to wychodzi? Sprawdźcie sami.



ZIEMOWIT KAYZER
Historyk, publicysta. Idąc
chodnikiem noszę w sobie
uzasadniony lęk przed cię-
żarówkami załadowanymi
drewnem.

CASTEL DI ADOLFO, czyli Zamek Adolfa (c.d.)

Zza gór, zza lasów (a było po siedem sztuk każdej części krajobrazu) ściągnął Adolf wróżkę najwsporniejszą, co o kulach nieboraczka chodziła.

Tak, tak, potrącił ją tu i ówdzie wóz z sianem. Gdy trafiła do zamku ni sekundy wytchnienia, ni wody kropli nie dał jej Adolf. Kazał krzesło przynieść do sali jadalnej i przepowiedzieć, co też w niedalekiej przyszłości się stanie. Wróżka w kule popatrzyła, na podłogę splunęła, ziołami jakimiś czarownymi podłogę wokół nocnika Adolfa okrasiała. Jęła Adolfowi, co widziała, opowiadać. Było tego trochę, tomisko opasłe by to napisać.

Graal. O Graalu dużo mówiła dziewczyna i o innych typach ciemnych, co na Graala czatują.

- Co to za cholerstwo jakieś? – zapytał Adolf.

- Aż tak głęboko w istotę wszech-jak-cholera-rzeczy kule moje nie sięgają. Rzecz ta cenna w każdym razie się wydaje, gdyż, gdyby inaczej było, kupa rzezimieszków by na te dziwy nie nastawała.

- Zabić ją – krzyknął Adolf do swoich podwładnych – trutnica nawet wskazać dobrze problemu nie potrafi, a kasę bierze niepoślednią za swe oszustwa.

Rycerze w okamgnieniu znaleźli się u drzwi do jadalni, wpadli gorączkowo wymachując mieczami. Zasiekli wróżkę.

Ciało kazał Adolf – swoim zwyczajem – przez okno wyrzucić. Będzie atrakcja dla turystów dodatkowa. Zatarł ręce na myśl o zarobku. Trzeba by pokoje powiększyć zu vermieten, a może dodać apartamentów na zamku. Wezwał tedy Adolf swojego stróża do spraw dofinansowań i kazał projekt przygotować. A niechby coś umknęło stróżowi, tedy i jemu ziemia lekką się stanie.

Graal. Niby wrażenia żadnego na Adolfie opowieść wróżki nie zrobiła. A jednak uwagę przykuła. Niby oczy starca, którego kiedyś tam (całkiem niedawno) w lesie ostawili na pohybel kłusownikom wszelakiej maści.

- Graal, wiem! – serce w piersi aż się Adolfowi zatrzęsło. Otóż nawet średnio zorientowany człek stwierdzi, że Graal to słowo żywcem wyjęte z języka flamandzkiego, holenderskiego lub walońskiego. (Klub piłkarski FC Graal wcale by mnie nie zdziwił, zależy jeszcze jakie stawki byłyby dostępne za zwycięstwa na wyjeździe).

Graal jest też rzeczą stosunkowo nieuchwytną, a poszukiwaną. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że większość terytoriów, na których używa się wspomnianych języków, znajduje się pod wodą. Holandia/Belgia w znakomitej części pachnie depresją. Przypomina się mityczna Atlantyda.

Z punktu widzenia pragmatyka widzącego, z jaką pracowitością mieszkańcy Holandii na przykład pozyskują teren osuszając itepe, Adolf był skłonny stwierdzić, jakże blisko im do pozycji narodu wybranego.

Z powyższego Adolf wysnuł bezpośrednią paralelę, że żelastwo to jest u jakiegoś antykwariusza w portowej dzielnicy Rotterdamu, który każdego ranka wsiada do wanny, przekręca kurki w określonej sekwencji, po czym wanna zwozi go do piwnicy. Tam, gotów na iluminację, ogląda ów przedmiot w jakiejś gablocie. Proste, jak drut. Takimi pokrętnymi ścieżkami podążał umysł Adolfa.

A był kiedyś Adolf w Rotterdamie. Na szkolnej wycieczce. Do tego jeszcze z bratem-świrem. Brat wtedy z oblędem w oczach zbierał żaby żywe i do wielkiego słoja je wkładał. Kiedyś stukł się ten słoć, a wszystkie robactwo wypierzchno zeń na wszystkie strony z rechotem. Po powrocie z wycieczki stukł też ojciec brata-świra. Słoć był jedyną pamiątką rodową, ponoć niegdyś Kurt LXI, pradziad Adolfa, zbierał do niego dżdżownice na ryby.

Ale ten Graal... dziwna sprawa.

Adolf przechadzał się po dziedzińcu. Ostatnie wątpliwości nie rozproszyły jednak jego trzeźwego spojrzenia na okalającą go rzeczywistość. Przechadzając się rozwiązał już zagadkę czerwonych oczu starca. Po prostu oczy te były przekrwione. - A dlaczego były przekrwione? – rozmyślał Adolf. - To przecież oczywiste. Starzec ów nadużywał ostatnio alkoholu – piorunująca, aż nieprawdopodobna myśl błysnęła w mózgu Adolfa. - Musi, że ktoś w okolicy wyszynk nielegalny prowadzi. Spisek – do takiej konkluzji doszedł Adolf w swych rozmyślaniach. Bo Adolfowi wszystko kojarzyło się ze spiskiem. Jak u tego typu z Hłaski, co mu się wszystko z d... kojarzyło (po adolfowemu tytuł będzie mniej więcej Wunder Zweijahrenmanner [z a umlautem]). I teraz wszystkie fakty poczęły się układać w logiczną całość. Adolf nie lubił być okłamywany, dlatego uznał, że starzec poniósł zasłużoną karę. Natomiast trochę żałował pośpiechu w stosunku do wróżki i jej zbyt wczesnego zejścia. - Lepiej byłoby, gdyby wziął ją na tortury. Wyśpiewałaby, co wie o tym Graalu. A tak, to dupa błada – pomyślał. Ponadto, konkluzja o nielegalnym wyszynku była co najmniej uwierająca. Co tu robić? W las nie ma co się zapuszczać nie mając pewnych informacji, a ślady starca pewnie już zatarły się po nocnej burzy. Adolf lubił burzę. Właśnie dziś nocą stał przy oknie i patrzył w noc na błyskawice dżgające bezlitośnie jego ziemie. Odnosił nieodparte wrażenie, że gromy są jego sprzymierzeńcem, czerpał z nich siłę do szybkiego podejmowania decyzji. Poza tym jego brat-świr panicznie bał się burzy. Jak można się domyśleć strasznie bawiło Adolfa, kiedy brat ów, zdjęty strachem uciekał nocą do najciemniejszego lochu. Adolf wtedy cichcem udawał się za nim i, tego też można się domyśleć, zamykał za nim drzwi do lochu. Brat-świr oblędu dostawał, gnijąc do późnego popołudnia w ciemnym lochu, a wielkie jak tramwaje, szczury podchodziły

do jego stóp. Dopiero po obiedzie matka odnajdowała brata przyprowadzając przed oblicze ojca, który karał go okrutnie za tchórzostwo tłukąc skórzanym pasem. Niesłychanie śmiał się wtedy Adolf do taflī będącej obok zamku sadzawki [nie, nie, nie pływała tam kaczka w koronie]. Były to jedyne chyba chwile radości Adolfa.

Adolf stawał przy oknie, otwierał je na oścież i napawał się świeżym powietrzem. Na dodatek otwierał wtedy również szeroko umysł. Nazywał to „wietrzeniem spisku”, czyli odnawianiem wcześniej powziętych podejrzeń. A co Adolf myślał o spiskach, wiemy z poprzednich części.

Drużyna lekkim truchtem końskich kopyt zbliżała się do młyna. Pracujący nieopodal chłopcy jęli kłękać na widok Adolfa. Tak zresztą sam wymyślił. Wiemy już teraz skąd czerpał Iwan Groźny. Po zbliżeniu się do młyna, adolfowy herold głośno zawezwał kierownika młyna przed oblicze Adolfa. Kierownik, z drżącymi rękoma natychmiast wychynął z młyna i płacikiem niemal poddańczo płacikiem padając pojawił się u stóp Adolfa. Właściwie to u stóp konia adolfowego, na co zresztą ogier skrzywił się z niesmakiem.

- Witam cię, drogi kierowniku – rzekł Adolf.
- Witaj przesławny Adolfie – rzekł kierownik.
- Musimy przeszkukać młyn – rzekł Adolf - poszukujemy zbiega.
- Oczywiście – rzekł kierownik - młyn jest do dyspozycji.
- Czyżbyś ze mnie żartował? – wyczuł spisek Adolf.

- Ależ skąd najmiłszy Panie – dał odczuć swoją uniżoność kierownik.

Szukajcie, a znajdziecie – pomyślał Adolf. W każdym razie to pierwszy etap poszukiwań kłusownika. W głębi duszy nie chciał go znaleźć w tym młynie. Lubił kierownika, a niechybnie znalezienie w nim spiskowca spowodowałoby, iż musiałby go stracić. Drużyna sprawnie zesła z konia. Jasne, mister Miód Zdrobniale (jak w Kubusiu Puchatku) zapewne dostrzegłby błąd. I słusznie. Każdy z członków drużyny zszedł z własnego konia – może tak będzie lepiej. I jęła drużyna przeszukiwać młyn (prawie Szekspir). Przeszukiwano zakamarki, skrzynie, zaufki. „Kann Ich bitte Ihre Papiere sehen?” dobywało się często z budynku. Bo drużyna grzeczna była, jak diabli. Jak na ironię wszyscy mieli pożądane kwity.

- Nicto – pomyślał Adolf - dziękuję kierownikowi
- powiedział z pełną wiarą w lojalność.

- Na koń – dalejże hejże ha.
- Żadnych zwłok – z ulgą pomyślał o odjeżdżających kierownik...



rozmowa z KLAUDIUSZEM WOŹNIAKIEM

Marek Samselski - Znamy się z górą dziesięć lat.

Klaudiusz Woźniak - Pamiętam nasze pierwsze spotkanie...

M.S. - Zapoznawcze. Był krupnik.

K.W. - No tak. Spotkaliśmy się wieczorem mniej oficjalnie. Wcześniej w moim gabinecie odbyliśmy poważną rozmowę o ewentualnej współpracy. Dowiedziałem się wtedy o twoich zainteresowaniach, dokonaniach twórczych skierowanych m.in. do dzieci. Uznaliśmy, że warto coś zrobić dla naszego środowiska szczyńskiego i stworzyć pismo, w którym mogliby zamieszczać informacje kulturalne ale i swoje dokonania w zakresie poezji i prozy nasi mieszkańcy. Zaproponowałem ci wtedy zorganizowanie koła literackiego w MDK-u, które przyciągnęło liczną grupę szczyńskiej młodzieży i dorosłych z terenu powiatu. Tak powstał „Nasz Akapit”, wyszły też tomiki poezji młodych szczytnian.

M.S. - Skończyło się to po twoim wyjeździe do Olsztyna. Przytoczę ci, co napisał Sartre w swoich autobiograficznych „Słowach” – Kultura nie zbawia nikogo ani niczego. Ale jest wytworem człowieka - człowiek odbija się w niej i rozpoznaje; to zwierciadło ukazujące jego obraz.

K.W. - Mądre, bardzo mądre zdania. Rozumiem, że przytoczyłeś je jako sentencjonalne opatrzenie naszej rozmowy.

M.S. - Zgadza się. Chciałbym, żebyś opowiedział o swojej pasji. Wiem, że jest nią muzyka klasyczna, niezbędna ci do egzystencji?

K.W. - Z pewnością tak, choć nie ograniczam się do słuchania tylko muzyki „poważnej”. Faktem jest, że wielką moją pasją jest muzyka epoki baroku; najbardziej lubię słuchać wielkich form wokalnie – instrumentalnych, w szczególności utworów Bacha, czy Haendla. To także okres tworzenia pięknych koncertów instrumentalnych, w tym złoty okres barokowej trąbki. Słucham też muzyki innych epok, a z zachowaniem odpowiednich proporcji, także muzyki jazzowej i dobrej muzyki rozrywkowej.

M.S. - Wiem, że z trąbką związana była twoja edukacja muzyczna. Grasz jeszcze na niej?

K.W. - Tak, ale niestety coraz rzadziej. Życie zawodowe, choć związane z kulturą, nie pozwala mi zbyt mocno na uprawianie muzyki sensu stricto. Po dziesięcioletnim stażu pracy w Państwowej Szkole Muzycznej w Szczytnie, kiedy objąłem funkcję dyrektora w MDK-u w Szczytnie, musiałem otworzyć się na różne kierunki edukacji kulturalnej i zająć się organizacją wydarzeń kulturalnych. Następnie praca w Departamencie Kultury i Edukacji oraz w Muzeum Budownictwa Ludowego, Parku Etnograficznym w Olsztynku dostarczyła mi nowych doświadczeń związanych m.in. z polskim muzealnictwem.

M.S. - Powróćmy do twojej pasji muzycznej. Kto ją w tobie rozbudził?

K.W. - Pani Wiesława Skarżyńska, nauczycielka wychowania muzycznego SP nr 3. Była wspaniałym nauczycielem, pedagogiem, umiała w ciepły przystęp-

ny sposób przybliżyć wiedzę muzyczną a ponadto pięknie śpiewała i była piękną kobietą.

M.S. - Jesteś estetą, wrażliwym na przeróżne piękna.

K.W. - Zabawna uwaga. Ale to pani Wiesława zaszczerpiła mi zamiłowanie do muzyki. Edukację rozpocząłem w PSM I stopnia w Szczytnie a następnie II stopnia w Olsztynie. Potem na kierunku wychowania muzycznego studiowałem na olsztyńskiej WSP.

M.S. - Zaraz, zaraz. Jesteś trochę młodszy ode mnie. Ale nie mogłeś nie słuchać w latach siedemdziesiątych muzyki rockowej, bluesa...

K.W. - Jasne, że słuchałem – The Beatles, Pink Floyd, Breakout, Niemen...

M.S. - Śpiewałeś...?

K.W. - Śpiewałem w chórach. Wraca dreszczyk emocji, gdy przypomnę sobie mój udział w wykonaniu Requiem Mozarta w olsztyńskiej Katedrze, czy Magnificatu D-dur J. S. Bacha w Filharmonii Olsztyńskiej. W czasie mojej pracy w PSM w Szczytnie, założyłem Miejski Chór działający przy MDK.

M.S. - Zarażałeś swoją pasją...

K.W. - Uczyłem muzyki przez dziesięć lat. Prowadziłem klasę trąbki, przedmioty teoretyczne, chór. Będąc dyrektorem MDK-u organizowałem wydarzenia muzyczne. Wielkie koncerty podczas Dni i Nocy Szczytna, gdzie dominowała muzyka śródka, ale również koncerty kameralne o charakterze edukacyjnym, przy współpracy z Estradą Kameralną Filharmonii Narodowej. Miło wspominać Mazurskie Wieczory Jazzowe, koncerty piosenki poetyckiej czy aktorskiej, artystów z Piwnicy pod Baranami. Zaangażowałem się w organizację Konkursu Piosenki im. K. Klenczona, który z pewnością „zarażał” wielu wykonawców twórczością naszego szczytnianina.

M.S. - Na rogatkach miasta wita gości pozostałość po konkursie – klenczonowska gitara.

K.W. - Sama gitara niczego nie zbawia, podobnie jak kultura w pierwszym zdaniu Sartre’a, którego przytoczyłeś. Ale w drugim zdaniu powiedział, że kultura jest wytworem i obrazem człowieka.

M.S. - Ze Szczytna odszedłeś do Departamentu Kultury i Edukacji w UM w Olsztynie. Po ośmiu latach wróciłeś i objąłeś funkcję kierownika Muzeum Mazurskiego.

K.W. - Tak, zgadza się. Pojawiła się szansa na powrót do rodzinnego miasta i na pracę w tej bardzo zacnej instytucji kultury, której profil działalności związany jest przede wszystkim z historią naszej małej ojczyzny.

M.S. - Co w takim razie z pasją muzyczną?

K.W. - Próbuję znaleźć na nią czas, ale muszę zachować właściwe proporcje i priorytety. Teraz ważne jest wykonanie żmudnej, mało widocznej pracy związanej z opracowaniem zbiorów naszego muzeum. Trzeba unowocześnić formy ekspozycji niektórych zbiorów. Trzeba znaleźć środki finansowe na kontynuację wielu cennych wydarzeń organizowanych dotychczas przez nasze muzeum, ale także na nowe przedsięwzięcia, które wniosą coś dobrego do kalendarza kulturalnego.

M.S. - Dziękuję za rozmowę.



ZA CO KOCHAMY AMERYKĘ

Jedno słowo nie wystarcza na wyrażenie uczuć związanych z państwem dla nas dalekim za Oceanem, Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Jest to kraj, który mamy blisko serca, choć o tym niedługo nie wiemy, a kraj to wspaniały, okazały i wiemy, że nie stał się on taki nagle, albo za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ameryka jest zarazem dla nas niczym mityczni Inkowie słynący z bogactw. Dzisiaj te bogactwa, to kiedyś, na początku znaczący ciężką pracę i wszelkie utrapienia, o czym Amerykanie pamiętają każdego dnia, my niestety nie.

Ameryka z perspektywy czasu, można powiedzieć, że zjawiała się na arenie międzynarodowej nie jednego dnia. Ponad 231 lat temu (4 07 1776 r.) proklamowali Amerykanie swoją niepodległość, postanowili zerwać złe więzy przywiezione Europy, układając demokratyczne prawa oparte na wolności, na wolności, która traktują jak najcenniejsze relikwie, jak oko w głowie i ta wolnością, mają pragnienie zarazić cały świat, chcieliby zbudować Stany Zjednoczone Ziemi, by Ziemia była matką, żywicielką i ojcem wszystkich. Za to kochamy Amerykę.

Tę potęgę, jedyną widzialną w naszym życiu, stworzyli nasi przodkowie, wszyscy ci, którym Europa w rozmaity sposób ograniczała wolność, wszyscy ci, którym Europa nie pozwalała na realizację marzeń o lepszym życiu i lepszym świecie, i wielu, bardzo wielu wyjechało za chlebem, także wielu było wygnańców. Do dnia dzisiejszego wyjeżdżają do Ameryki, ci co nie mają możliwości znalezienia swojego miejsca w Europie, a chcą pracować i zostawić ślad o sobie potomnym. Gdy każdego z nich zapytasz, kim jest, zawsze odpowie, że Amerykaninem. Za to kochamy Amerykę, za sukcesy, które odnosi dzięki swoim obywatelom.

Kult pracy, zdolności i talenty namaszczone przez wielkich i małych, przez całe społeczeństwo nie znające zazdrości we wszelkich kwestiach życiowych, pozwolił narodzić się i rozkwiatać nowej i największej cywilizacji. Razem, wszyscy Amerykanie budują Kolosy Rodyjskie, wieżowce faryjskie, świątynie wiedzy i kultury, przewyższające wszystkie razem wzięte wspaniałości babilońskie, aleksandryjskie, greckie i rzymskie. Rozsławiają wiedzę archaiczną, starożytną i współczesną. Za to kochamy Amerykę.

Jedna ze współczesnych sztuk, film amerykański dociera do nas masowo, jesteśmy nim zafascynowani, jesteśmy tego spragnieni. W dużym stopniu są to arcydzieła, arcydzieła właściwe Ameryce z milionami barw tęczy, w której mieszczą się także gorzkie prawdy. Odnajdujemy tam losy człowieka w bogactwie życiowych uwikłań, gdzie każda scena, każdy przedmiot, ustawienie jego, muzyka, piosenka, każda barwa, cień i odcień to również bohater filmu i nie ma tam z zasady rzeczy zbędnych. Kamera idąc drogami bohaterów od pojawienia się logo wytwórni filmowej, wzbudza naszą ciekawość, każe nam odczuwać, że jesteśmy uczestnikami filmu, a potem długo o tym pamiętamy. Za to kochamy Amerykę.

Także muzyka amerykańska podobnie jak filmy, literatura, wszelka sztuka, czy też elektronika, czy komputery z oprogramowaniami, dociera do nas masowo, zyskując sobie miejsce powszechne. Jest to muzyka, w której pobrzmiwają dźwięki europejskie, zwłaszcza wyspiarskie (Anglia, Irlandia), oraz afrykańskie. Amerykanie poszukując ciągle nowych brzmień muzycznych, innych wyrazów do porozumiewania się, tworzą bez przerwy nowe kanony muzyczne. Stworzyli blues, mający rodowód murzyński, z którego stworzyli sławny na cały świat jazz oraz liczne inne jego odmiany i postacie. Śmiało i odważnie stwierdzić należy, że autentycznie muzyka amerykańska nie zna granic na naszym Globie. Z Nowego Świata rozprzestrzeniła się trwale muzyka disco, rock-and-roll spopularyzowany przez Elvisa Presleya. Amerykanie stworzyli także niezwykle muzykę gospel, country, czy wreszcie boogie woogie, no i oczywiście pop powszechnie znany i śpiewany. Za to kochamy Amerykę.

W różnych miejscach naszego Globu młodzi chłopcy amerykańscy, których etnosy przeważnie wywodzą się z Europy, narażają swoje życie, często tracą je jako największa ofiara złożona swojej ojczyźnie, Ameryce. Dzięki nim, my Europejczycy śpimy spokojnie, czujemy się bezpiecznie, czujemy się bezpiecznie dzięki obecności Ameryki w naszym Starym Świecie. Nasz pokój nie bierze się z nikąd. Za to kochamy Amerykę.

Odcinając się od skostnień europejskich, Amerykanie nie zapomnieli o swoich ojczyznach i o rodzinach ani na chwilę, wysyłając paczki i pieniądze swoim bliskim i znajomym. Dzieli się powszechnie swoimi dobrami z mieszkańcami z innych kontynentów na pamięć o swoich ciężkich czasach. Są zawsze i wszędzie tam, gdzie ich potrzebują, gdzie pomoc jest potrzebna, tam gdzie klęski żywiołowe wyrządzają szkody i pozbawiają ludzi ich dorobku życiowego, są tam z żywnością, z lekarstwami, z pieniędzmi, wspomagając powrót do normalnego życia. Dzieli się wszyscy, właściciele duzi i mali i najwięksi, ludzie ze świata filmu i politycy i tysiące tysięcy innych. Na okoliczność sukcesów i klęsk, niepowodzeń, na okoliczność wszystkich życiowych zdarzeń Amerykanie wypowiadają „niech Bóg błogosławi Ameryce”. Za to kochamy Amerykę.

Za tysiące innych rzeczy kochamy Amerykę.

Za to wszystko jesteśmy winni jej pielegnowania, bo to przecież Nasze D r z e w o Życia.



KRAINA SZCZĘŚLIWOŚCI cz. I GRAŻYNA SAJ-KŁOCEK

Koniec sierpnia przyniósł mi w prezencie intensywny ból kręgosłupa. Że boli i bolał, wiedziałam nie od dziś, że się nasili – nie przypuszczałam.

Iwonicz-Zdrój powitał mnie kwiatami, słońcem. Jak tu pięknie, bajkowo. Podchodzę do taryfy i kolejna miła niespodzianka. Okazuje się, że do Sanatorium „Górnik” kuracjusze są dowożeni za darmo. Ostatni etap podróży trwa krótko i wiedzie pod górkę. Punktualnie o 17.00 stawiam się w recepcji. Miła, sympatyczna recepcjonistka uśmiecha się do mnie zachęcająco. Ogląda moje skierowanie i wypisując różne informacje, kładzie klucz do pokoju. Zostałam przydzielona do 3-osobowego pokoju na IV piętrze. Na moje prośby o przydział do jedyńki lub dwójki odpowiada, że należało zrobić rezerwację, bo już wszyscy przyjechali, a ja „jestem ostatnia”. – Jeszcze mnie pani nie zna, a wyzywa od ostatnich – próbuję żartem coś jeszcze wyegzekwować. Niestety, nie udaje się i pogodziona z faktem, że będę mieszkała z dwiema innymi paniami, jadę windą na IV piętro. Pukam. Nikt na mnie nie czeka. Swoim kluczem otwieram drzwi. Pokój duży i pełen słońca. Podchodzę do okna, przez misternie utkaną pajęczynę patrzę na świat. Pięknie. Dopiero teraz rozglądam się po pokoju. Dostrzegam, że łóżko tuż koło okna jest zajęte, więc zajmuję jedno z dwóch pozostałych. Nie mam czasu na rozpakowanie, bo już muszę biec do pielęgniarki. Formalności załatwione, wracam do pokoju, nadal pustego. Spokojnie rozpakowuję walizę, co do powieszenia – wiem, co do położenia na półce – kładę. Przerywam te czynności, bo mam wyznaczoną wizytę u lekarza. Pani doktor ogląda moją dokumentację medyczną, zadaje różne pytania, coś tam sobie pisze. – Kartę zabiegową jutro pani otrzyma – informuje. Wracam do pokoju, a tam z lornetką przy oku stoi moja nowa koleżanka. Podaję jej rękę, przedstawiam się, a ona takim mocnym, zdecydowanym gestem ściska moją dłoń, przedstawia się. Od razu widzę, że jest to kobieta o silnej osobowości i dość surowym sposobie bycia, ale taka swojska, normalna.

– Byłaś już na spacerze po okolicy? – pytam, zerkając tęsknie za okno i kątem oka z żalem dostrzegam brak pajęczyny, którą zamierzałam sfotografować na tle zachodzącego słońca.

– Tak. Pokręciłam się po miasteczku. Pięknie tu.

– Może po kolacji przejdziemy się?

– Chętnie.

Gada nam się lekko i łatwo, tak jakbyśmy znały się nie od dziś. Wyglądamy za okno i przez lornetkę, lustrując malowniczą okolicę. Wychodzimy na kolację i mimo że mamy do wyboru windę i schody, bez umawiania się schodzimy na stołówkę. Nie mam przydziału, więc załatwiam kolejne formalności z dietetyczką. Jem mało, ale pyszną herbatę wypijam z przyjemnością. Wracam do pokoju, a tam już czeka na mnie moja nowo poznana koleżanka. Wychodzimy. Na schodach dostrzegam przyczepioną do rękawa jej kurtki pajęczynę. Jeszcze nie mam pojęcia, że chwycę tę pajęczynę i będę ją trzymać.

Do Sanatorium „Górnik” przyjechałam samochodem i po wyjściu z okazałego budynku nie miałam pojęcia, w którą stronę udać się. Zerkam na towarzyszkę, a ona zdecydowanym krokiem obiera właściwy kierunek. Idę, niczym cielaczek, chwilę za nią, by wreszcie wyrównać i dotrzymać kroku. Już, już wyciągam rękę, by strząsnąć pajęczynę, gdy misterna robótka sama odrywa się od materiału i szybuje, odfruwając, niczym babie lato... a mały, pracowity pajęczek kołuje wraz ze swoją robótką.

I tak oto zaczęło się dla mnie prawdziwe babskie lato.

W towarzystwie Pajęczarki, bo takie w myślach nadałam imię koleżance, spacerowałam po najstarszym, najpiękniejszym, o urokliwej drewnianej zabudowie kurorcie. Widziałam tylko kwiaty, słońce, uśmiechnięte szczęśliwe twarze... Wracam. My też jesteśmy uśmiechnięte, na swój sposób szczęśliwe, oto stoimy u progu wielkiej przygody, oto stoimy u progu kuracji, która ma nas podleczyć, uzdrowić, dać wytchnienie.

W pokoju jest już nasza trzecia „współspaczka”, Tekla – miła, ciepła, łagodna, dobrodusza. Gadamy, gadamy, ale nie za długo, bo każda z nas chce wypocząć po trudach podróży i o 23.00 z naszego pokoju dobiega miarowe chrapanie.

Obudziło mnie słońce, które przez otwarte okno wdarło się do pokoju i zatańczyło na kołdrze, ścianie... Chwilę leżałam bez ruchu i mimo że miałam wielką ochotę sfotografować te harce, nadal trwałam w błogim lenistwie. Do mojej świadomości dociera fakt, że mam prawdziwe babskie lato, że nie muszę martwić się, czym i z kim dojadę do pracy, że po prostu nie muszę się niczym martwić. Moją błogość przerywa dziwny dźwięk – strzał migawki aparatu. Po prostu nie wierzę, że ktoś wpadł na pomysł fotografowania wschodzącego słońca. Szybko wyskakuję z łóżka i z aparatem też pcham się do okna. To Pajęczarka wykorzystała okazję i uchwyciła ten ulotny moment wschodu słońca. Zadowolona z siebie robi mi miejsce w oknie i rzuca, ot tak od niechcenia

– Pijesz kawę?

– Tak. Sypaną, z odrobiną cukru.

Po chwili pokój wypełnia rozkoszny zapach aromatycznego naparu, a gdy wracam z łazienki, kawa jest już dobra do picia. Odkrywam talerzyk i biorę łyk. Jestem pod wrażeniem smaku i całego misterium parzenia – kawę pijam tyle lat, ale nigdy nie przykrywałam filiżanki. Smakuje wybornie, moc – taka jak lubię, z odrobiną słodczy przełamującej goryczkę. Na dodatek szklanka z uchem. Do stolika dołącza trzecia nasza towarzysza, też dostaje kawę. Rozpoczynamy swój pierwszy, wspólny poranek. W zgodzie, harmonii, przy wspólnym stole. Jesteśmy dla siebie miłe, uprzejme.

O 8.00 idziemy na śniadanie, ale każda z nas siedzi przy innym stoliku. Mój jest 6-osobowy. Poznaję nowe koleżanki: Irenkę, Anię, Ewę, Grażynę, Dorotę. Śniadanie pyszne, moja ulubiona zupa mleczna i świeżutka, chrupiąca bułeczka. Po śniadaniu uroczyste wita nas wszystkich dyrektor Sanatorium, na którego widok jedna z moich koleżanek szepce: „Boski, niczym książę”. Faktycznie, piękny mężczyzna. Słuchamy, co nam wolno, a czego nie. Głos zabiera też pani doktor mówiąc nam, że możemy mieć problemy ze snem, że mamy chodź na zabiegi, że jesteśmy tu po to, by leczyć swoje zdrowie i wypoczywać.

Wracam do pokoju. Proponuję spacer do miasteczka. Moje koleżanki natychmiast przystają na tę propozycję. Mimo że już raz szłam w tę stronę, to znów niewidoczna pajęczyna pozwala mi obrać właściwy kierunek, bo niestety mam już taką naturę, że trzy razy obrócę się dookoła i nie wiem, gdzie jestem.

Do miasteczka schodzi się cały czas w dół, można chodnikiem, robiąc serpentynę, można schodami. Tym razem idziemy po schodach. Zapowiada się piękny słoneczny dzień, a my, wiedząc, że po obiedzie mamy pierwsze zabiegi, wolny czas wykorzystujemy na penetrację okolicy. Trafiamy do IT, tam dostajemy sporo ulotek, kupujemy mapę.

Mamy niebywałe szczęście. Pani Agnieszka, szefowa biura, proponuje wycieczkę na zegarową wieżę Bazaru. Z ochotą

tą wędrujemy za nią. Po drewnianych schodach dochodzimy do serca wieży, gdzie zlokalizowany jest cały mechanizm, niestety nieczynnego zegara. Pytana o przyczynę pani Agnieszka odpowiada, że burmistrz tak gwałtownie podawał klucz zegarmistrzowi, że ów jedyny, oryginalny przedmiot, wypadł mu z rąk i tak niefortunnie potoczył się, że wpadł w dziurę, chyba myśią, a może budżetową. Fotografujemy Iwonicz Zdrój z góry i z góry spoglądamy na piękne, pełne kwiatów i słońca miasteczko.

Wracamy. W drzwiach czekają na nas karty zabiegowe. Studiujemy co i kiedy nam przydzielono. Z doboru zabiegów jesteśmy zadowolone. Jeszcze przed obiadem biegnę na okłady borowinowe, a tuż po obiedzie na gimnastykę na przyrządach i jonoforezę. Ok 14.30 wszystkie trzy jesteśmy już po zabiegach. Piękna pogoda aż kusi, by wyruszyć na łono przyrody. Rozkładamy mapy, a tam czerwony szlak z Iwonicza-Zdroju do Rymanowa-Zdroju aż nęci, aż kusi. Proponuję, by pokonać go. Moje koleżanki chętnie się na to godzą.

Uzbrojone w mapę, aparaty fotograficzne, butelki z wodą – ruszamy. Mijamy miasteczko i czerwonym szlakiem wędrujemy w górę, by tuż koło tartaku poczuć i ujrzyć dziewiczość leśnej drogi. Wędrujemy, a w myśli towarzyszą nam słowa wiersza: „wartko, radośnie, mija nam czas, ożywczy strumyk chłodzi nas mile”... Lato, upalne, iście babie lato i trzy baby na szlaku. Idziemy gadamy, śmiejemy się, rozbawione, bez trosk, bez problemów. Przez chwilę musiałam porozmawiać przez komórkę z synem, a gdy skończyłam, ze zdziwieniem stwierdziłam, że nasz dotychczasowy czerwony szlak zamienił się w żółty. Ale Pajęczarka zapewniła, że czerwony łączy się z żółtym i idziemy dobrze. Takim oto sposobem, zamiast w Rymanowie Zdroju, tuż o 17.30 wylądowałyśmy w Klimkówce. Wpadłam w panikę, bo planowałam z Rymanowa-Zdroju wrócić autobusem, a kościółek w szczerym polu, wracać tą samą drogą daleko i po 18.00 zachodzi słońce. Napotkane dwie mieszkanki Klimkówki pokazały nam drogę do ich wsi i zapewniły, że na pewno spotkamy czynnego kierowcę, który nas zawiezie do Iwonicza Zdroju. Faktycznie tak się stało, gdy stanęłyśmy we wsi i wystarczyło, że podniosłyśmy rękę, natychmiast zatrzymała się przemiła pani i trzy zbłąkane babki podwiozła do celu. Takim sposobem na kolację wróciłyśmy do „Górnika” i jak się później okazało, dobrze, że pomyliłyśmy drogę, bo do Rymanowa Zdroju, idąc szlakiem, dotarłybyśmy grubo po 18.00 i to bez szansy powrotu autobusem, bo o tej porze nie ma już dogodnego połączenia.

Przez cały pobyt w Iwoniczu Zdroju miałyśmy piękną pogodę i każdego dnia po zabiegach robiłyśmy sobie piesze wycieczki we własnym towarzystwie lub z liczną grupą kuracjuszy pod wodzą pana Antoniego, naszego kaowca i przewodnika. Niestrudzony przewodnik zaprowadził nas do:

- „Bełkotki” – pomnika przyrody i historii uzdrowiska, źródła znajdującego się w czworobocznym ocembrowaniu, z którego ulatniał się gaz ziemny wywołujący bełkot wody. Obok źródła znajduje się popiersie Wincentego Pola oraz tablica z wierszem napisanym przez tego poetę. Pan Antoni prawdziwie opowieści o „Bełkotce” przeplatał legendami lokalnymi m. in. o smoku, który tam zanurkował i w każdej chwili może wyskoczyć. Tą opowieścią wcale nie przestraszył, wręcz odwrotnie, wywołał śmiech. Nagle, gdy jedna z pań podeszła do ogrodzonego źródła, rozległ się głośny plusk ... Wszyscy zamarliśmy w bezruchu. Na szczęście nie był to smok, do wody wpadła... plastikowa butelka, którą upuściła kuracjuszka. Wy-

prawa na Klimkówki – by pomodlić się w drewnianym, zabytkowym kościółku z 1868 r. pod wezwaniem Świętego Krzyża oraz usłyszeć historię związaną z gotyckim krucyfiksem wyorany przez rolnika, którego woły na widok relikwii ukłękły na kolana. Skosztować wody z cudownego źródła.

Wyprawa do Lasku Grabińskiego uwiecznionego pamiątkowym obeliskiem ustawionym w miejscu, gdzie hitlerowcy 25.VII.1944 r. rozstrzelali 72 mężczyzn – uczestników konspiracji zbrojnej prze Iwonicz z wizytą w kościele parafialnym z 1464 r. z bogato złożonym wnętrzem oraz bytnością na cmentarzu przy grobowcu rodziny Załuskich.

Tym wyprawom towarzyszyła serdeczna, rodzinna atmosfera, którą umiał stworzyć Pan Antoni oraz słoneczna, iście letnia pogoda. Słuchamy, robimy dużo zdjęć, wdychamy jod i brom, korzystamy z bezpłatnego solarium.

Każdego dnia mam zabieg. Już o 7.00 ćwiczę na przyrządach, o 8.00 odpoczywam obłożona plastrami borowinowymi, a o 8.30 zasiadam do śniadania z miłymi paniami. Muszę przyznać, że posiłki wyśmienite, a panie fajne i rozmowne. Przy posiłkowym stoliku czuje się tak, jakbym biesiadowała nie w stołówce, a na bankiecie.

- Czy byliście już na tańcach? – tym pytaniem Irenka zaskakuje mnie.

- Ja nie byłam – przyznałam się od razu bez bicia – Bo szkoda mi czasu na czekanie, by mnie ktoś poprosił do tańca, a w ogóle to ja nie umiem tańczyć.

- Ja też nie byłam, ale gdy koleżanki z pracy dzwonią i pytają o tańce, to odpowiadam, że chodzę codziennie – kontynuuje Irenka.

- Słuchajcie a może gdzieś pójdziemy? Poznamy jakiegoś księcia – nieśmiało zagadnęła Ania, z lubością wpatrując się w kierownika samotnie konsumującego posiłek.

Ta rozmowa uświadomiła mi, że kończy się pierwszy tydzień mojego pobytu, a ja tylko zabiegi, wędrowki po okolicy i to ciągle w towarzystwie kobiet. Gdzie te chłopcy? Na dodatek w niedzielę o świcie jedziemy z Teklą na Słowację, zaś Pajęczarka do Lwowa. Pomysł, by iść na tańce w sobotę spalił na panewce.

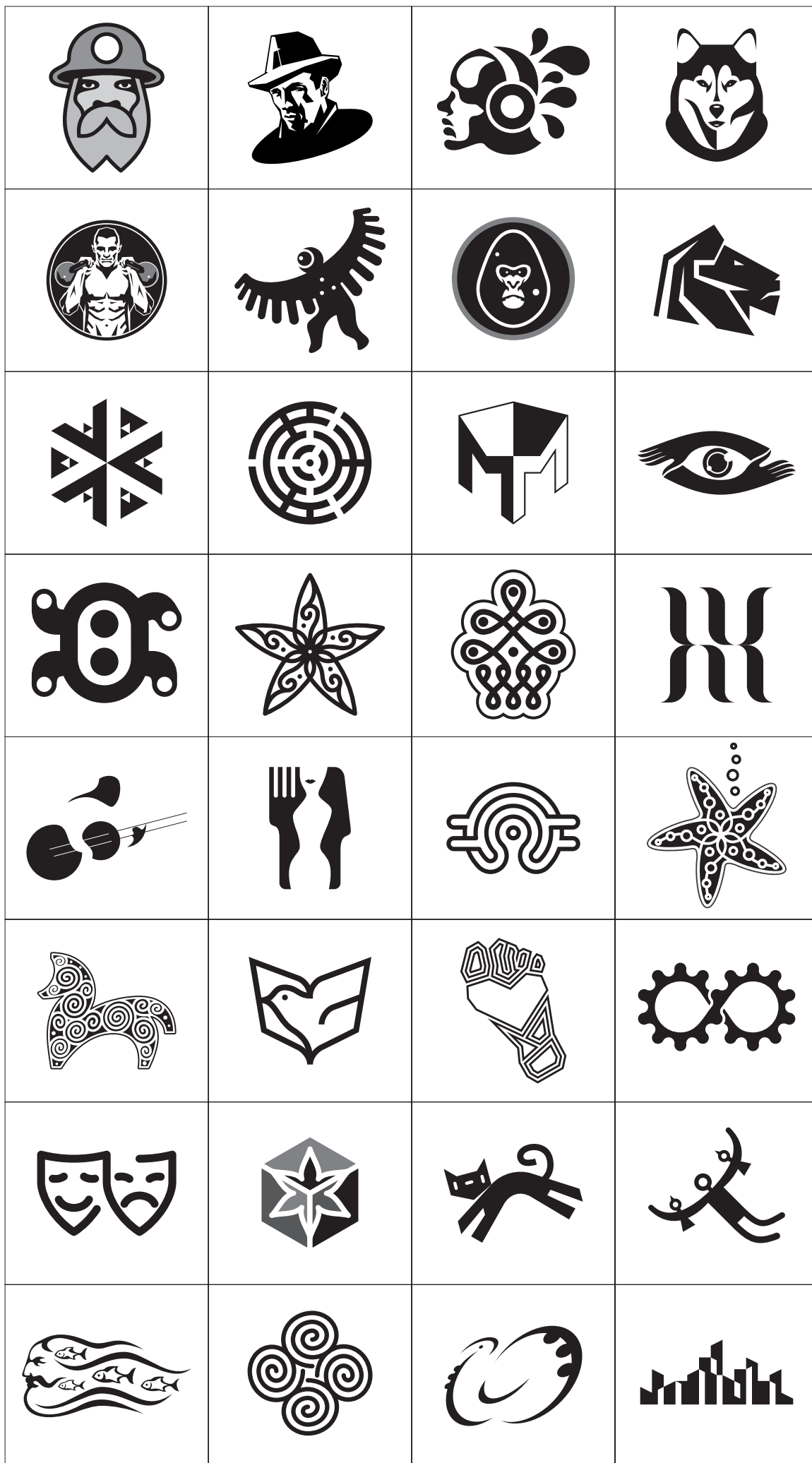
Ale nie głupi wymyślił przysłowie „co komu przeznaczone, to na drodze rozkraczone”. A było to tak. W niedzielę już o 6.00 wraz z pozostałymi uczestnikami wycieczki zajęłyśmy miejsce w autokarze, który powiózł nas do Bardejova. Pierwszym przystankiem było uzdrowisko Bardejovskie Kupele należące do najbardziej znanych i najchętniej odwiedzanych uzdrowisk słowackich. Połączono tam piękno z kulturą i pamiątkami historycznymi. Bardzo spodobało mi się to urokliwe miejsce, początkowo zwiedzane z przewodnikiem, a potem indywidualnie, bo otrzymaliśmy zezwolenie na chwilę wytchnienia w parkowych alejach. Patrząc się na te słowackie dziwy natury nagle zorientowałam się, że nikogo z wycieczkowiczów przy mnie nie ma, nie ma też Tekli, a ja tylko z aparatem fotograficznym w ręce stoję sama na obcej ziemi. Nie mam dokumentów, nie mam telefonu, nie wiem gdzie jestem. Już, już miałam wpaść w panikę, ale nagle moją uwagę przykuł zadziwiający widok. Obok pomnika pięknej, zwiewnej kobiety stał zapałszy w kamienną postać mężczyzna. Sprawiał wrażenie skamieniałego. Jedną z rąk trzymał za pazuchą w drugiej komórkę. Cesarz! Przemknęło mi przez myśl. Wszak w takiej pozie portretowano Napoleona. Podniosłam swój aparat i pstryknęłam zdjęcie. Wówczas Cesarz popatrzył na mnie i po polsku przemówił. *cdn*



PRZEMEK KOZAK

Rysownik, malarz, który zszedł na reklamę. Z pasją składa i „ugraficznia” pisma o charakterze artystycznych żeby się oderwać od komercyjnych klimatów. Specjalność – znaki graficzne i plakaty.

Funkcjonujemy w czasach opanowanych przez znaki i krótkie komunikaty. Jako człowiek, któremu bliższy jest obraz niż słowo (wykonywany przez mnie zawód zmusza do bycia za pan brat z tego typu tendencjami), przedkładał kilka swoich produkcji. Niektóre znalazły zastosowanie w identyfikacji wizualnej firm, inne nie. Przeważnie towarzyszy im nazwa oraz kolor, będące dopełnieniem całości logotypu, aczkolwiek w tej krótkiej prezentacji postanowiłem skupić się jedynie na piktoqramach. Za każdym z nich kryje się znaczenie bardziej lub mniej czytelne, GRA polega na tym żeby je odkryć.



To kącik dla ludzi mających ciągle odbezpieczony aparat fotograficzny w swojej komórce. Na łamach tej strony będziemy starali się umieszczać ciekawe zdjęcia o charakterze reportażowym lub artystycznym. Ze względów ekonomicznych publikowane one będą w wersji czarno-białej. Obróbka w Photoshopie nie wchodzi w rachubę – liczy się czysty strzał! Prace oceniają profesjonalni plastycy i fotograficy. Elementy satyryczne są mile widziane. Wszelkie formy „lansu” i parcia na obiektyw działają na niekorzyść twórcy. Pliki w formie cyfrowej (jpg, tiff, png) prosimy przysyłać na kozak@sonc.pl

F O T O K O M Ó R K A

N.A.



W tym numerze N.A.
Paweł Salamucha

OBIEC(Z)UJĄCE



ZUZANNA KOZAK



ALEKSANDRA JUCHNIEWICZ

Ola jest nidziczanką, Zuza szczytnianką; obie są pełne empatii wobec otaczającego je świata. Zuza go opisuje obrazem, Ola słowem.

Ola ukończyła gimnazjum w ZS nr 1 w Nidzicy, obecnie uczy się w LO nr 2 w Olsztynie. Zuza uczęszcza do Gimnazjum nr 1 w Szczytnie.

Ola swoje pierwsze „poważne” opowiadanie napisała w drugiej klasie szkoły podstawowej. Twierdzi, że nie wybierała swojej pasji, to pasja wybrała ją. Z pisaniem wiąże swoją przyszłość, nawet gdyby wszystkie utwory miały trafić do szuflady. Do pisania używa kartki i ołówka, bo tak się zaczęło i nie ma jakoś ochoty tego zmieniać. Jedną z jej ulubionych autorek jest Agatha Christie, wiadomo więc, że lubi powieści detektywistyczne. Do jej ulubionych powieści należą – „Stowarzyszenie umarłych poetów”, „Wielki Gatsby”, czy „Wichrowe wzgórza”. Te tytuły zostały sfilmowane, jednak woli je w wersji książkowej. Za telewizją nie przepada. Z natury jest filozofem, uwielbia poznawanie świata, a historie bohaterów zdarzeń nie wprost opowiedziane, czyli bez narzuconej interpretacji.

Chętnie słucha rocka, wpada do kina na jakiś kryminał, musical, albo z gatunku fantastycznych. Wolny czas poświęca na realizowanie swoich pasji i na spotkania z przyjaciółką. Nie przepada za występami publicznymi, chociaż marzy o scenie.

Jest laureatką konkursu literackiego „Zachowaj trzeźwy umysł” – konkurencja „Razem lepiej”.

Zuza chętnie spędza czas rówieśnikami, ceni sobie poczucie humoru. Z pasją gra w siatkówkę, ogląda mecze NBA (poza tym telewizji unika). Lubi las i zwierzęta, a on i one często są tematem jej prac. Dużo czasu poświęca na rozwijanie swoich umiejętności warsztatowych. Jej rodzice są plastykami. Przyznają, że już przerosła ich swoim twórczym potencjałem. Zuzia ma już swój rozpoznawalny styl artystyczny. Obszarem jej zainteresowania jest ilustracja. Śmiało łączy różne techniki rysunkowe i malarskie. W jej pracach pojawiają się rośliny, morficzne kształty i postaci pojawiające się w nietypowych sytuacjach. Groteska i surrealizm, połączone z dziewczęcą delikatnością składają się na niesamowity charakter tych ilustracji.

Zuzia rysuje i maluje od najmłodszych lat. Otrzymywała nagrody i wyróżnienia, ale ich prawdziwy wysyp nastąpił w zeszłym roku. M.in. została laureatką XIII Międzynarodowego Konkursu Plastycznego „Inne Spojrzenie”; zajęła I miejsce, w kat. wiekowej 12–15 lat, w Polsce i Brązowy Medal w drugim etapie międzynarodowym Konkursu „Samochód marzeń”, organizowanym przez Toyota Motor Corporation. Na ten konkurs wpłynęło kilkadziesiąt tysięcy prac z całego świata. A Zuzia, jako laureatka, została zaproszona do Japonii.

Otrzymała też stypendium dla Wybitnych Mieszkańców Szczytna, przyznawane przez Radę Miasta.



Inne prace Zuzi znajdziecie na końcu pisma

Najdroższy Głosie Nadziei!

Nie wiem, dlaczego do Ciebie piszę. Oszukałeś mnie, a potem uciekłeś. Nie potrafię o tym nawet myśleć, tak bardzo to boli. Wiem, że prędzej czy później wrócisz, a ja zapomnę o wszystkim, co mi zrobiłeś. Potem znowu mnie zranisz... A ja kolejny raz będę siedziała z chusteczkami w dłoni.

Jednak nie potrafię zapomnieć chwil, które spędziliśmy razem. Z Tobą wkraczałam w nowy etap życia. Wspierałeś mnie w trudnych sytuacjach, kiedy nie byłam pewna swoich racji. Mówiłeś, że to ma sens. Pomagałeś mi w walce o moje szczęście. Uczyleś mnie słuchać serca, z którym żyłeś w tak bliskich stosunkach, że czasami zlewaliście się w jedno. Trzymałeś mnie za rękę, gdy się bałam, pocieszałeś, kiedy płakałam. Pamiętam Twoje ulubione powiedzenie: „Dum spiro, spero”. Byłeś przy mnie, gdy poznałam nowe koleżanki. Mówiłeś, że jedna z nich zostanie moją przyjaciółką. Miałeś rację.

Czasami nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nigdy się nie mylisz. To nieprawda. Niekiedy zawodziś. Niekiedy się mylisz. Niekiedy... Cóż za fantastyczne słowo! Oznacza ni zawsze, ni nigdy. Wspaniale opisuje nasz związek: niekiedy jesteś, niekiedy Cię nie ma. Tym razem też muszę radzić sobie sama. Kazałeś mi ryzykować, bo a nuż się uda? Ufałam Ci, miałam za kogoś odważnego. Teraz myślę, że jesteś tchórzem, który gdy się pomyli, zwyczajnie ucieka.

Wczoraj odwiedziła mnie Twoja siostra, Rozczarowanie. Razem opłakiwałyśmy Twoją zdradę. Przynajmniej ona zawsze jest, gdy jej potrzebuję. Po tym, co się stało... Ach, to błąd, że ciągle o tym myślę. Co się stało, to się nie odstanie. „Nie płacz nad rozlanym mlekiem” – jak mawia moja mama. Przyrzekałam optymizm, więc słowa muszę dotrzymać. Przyznam, czasami jest ciężko, ale się nie poddam. No tak, zapomniiałabym. Dzisiaj złożył mi wizytę Twój kuzyn, Pewność Siebie. Obiecał mi pomagać, dopóki nie wrócisz. Cała Twoja rodzina przychodzi mi pocieszyć. (To trochę męczące.) Jest im wstyd za Ciebie. Powiedziałam im, że to naturalna kolej rzeczy. Prawdę mówiąc, byli wzburzeni. Nie chcieli przyjąć do wiadomości, iż ja się na to zgadzam.

No cóż, Mój Drogi. Dobrze wiem, że nie jestem jedyną w Twoim życiu. Nie przeszkadza mi to. Kolekcjonuję minuty z Tobą, jak dziecko zbierające muszelki, by ozdobić swój zamek z piasku. Właśnie taka jest rzeczywistość. Ozdabiam swoje życie wspomnieniami wspólnych chwil, które nadają mu niepowtarzalny wygląd.

Przynajmniej wiem, że nie tylko mnie porzucasz. Wiele się słyszy o samobójstwach z powodu Twojego odejścia. Jednak Ty nie widzisz w tym nic złego. No bo w końcu, to dzięki Tobie ludzie potrafią przetrwać wszystkie przeciwności losu. Żyją, gdy jesteś z nimi. Umierają, gdy odchodzisz. Ciebie pożądam najbardziej. Każdy stara się usłyszeć Twój cichutki szept mówiący, że wszystko będzie dobrze. Spędzasz z każdym tyle czasu, ile ta osoba potrzebuje. Kocham w Tobie tę wyrozumiałość i cierpliwość. Myślisz tylko o dobrych stronach. Jesteś największym optymistą, jakiego znam.

Nie dziwię się, że tylu poetów o Tobie pisze – to ich podziękowania. A czy ja kiedykolwiek Ci dziękowałam? Nie mogę sobie przypomnieć... W takim razie teraz dziękuję Ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, za wsparcie i troskę, którymi mnie obdarzyłeś. Tak, wiem, to brzmi banalnie, ale czy to właśnie nie to, co jest banalne, tak naprawdę nie jest najbardziej wyjątkowe? Wszystko zależy od tego, czy mówisz z serca. A propos, Serce zachorowało. Ma okropne bóle. Lekarz powiedział, że jest złamane. I tak niewiarygodne, iż tak długo wytrzymało. Poza tym, Rozum też nie najlepiej się czuje. Nie wychodzi z pokoju, płacze, wzdycha i uparcie powtarza, że nic mu nie jest. Wprawdzie nigdy za Tobą zbyt nie przepadał, ale najwyraźniej to było na pokaz. „Docenisz coś, gdy to stracisz” – czyż te słowa nie odnoszą się idealnie do sytuacji Rozumu? A może to po prostu jesienna depresja?

Tęsknię. Na szczęście mam po Tobie pamiątki: misia z jednym uchem, którego dostałam od taty dziesięć lat temu, bransoletkę przyjaźni od pierwszej prawdziwej przyjaciółki, pierścionelek przynoszący szczęście, który dała mi mama. Przypominają mi, jak siadaliśmy na kanapie i rozmawialiśmy o planach na przyszłość. To były dobre czasy...

Nie wiem, kiedy wrócisz. Mam nadzieję, że wkrótce. Ciągłe pamiętam okoliczności naszego rozstania... Nie dają mi spokoju. Nie pozwalają zasnąć w nocy ani funkcjonować w dzień. Nie potrafię na niczym się skupić. Ciągłe czuję się winna... Może powinnam zadzwonić po Twoją ciotkę, Zapomnienie? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się widziałyśmy.

Życzę Ci szczęścia, cierpliwości i nieomyślności – na pewno Ci się przydadzą. Czekam z utęsknieniem na Twój powrót. Pozdrawiam gorąco.

Twoja Ola

PS: Ktoś puka do mego serca. Może to Ty?

